



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80 W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

POGA WĘDKA.

W tych dniach upłynęło lat *dwadzieścia pięć* od chwili założenia „Bluszcza“, to znaczy przeszło tysiąc trzysta liści wyrosło na tym pnui, którego płonkę przed ćwierć wiekiem dzisiejsza redakcja i wydawca zasadzili na gruncie polskiej prassy.

Nie wypada mi występować z jubileuszową mową na cześć pisma, którego mam zaszczyt być współpracownikiem od lat przeszło dziesięciu; ale wolno mi przynajmniej zaznaczyć tę pamiątkową datę jego narodzin, która sama za siebie przemawia; wolno mi spojrzeć wstecz na długą drogę, którą to pismo przeszło, i podziękować wszystkim jego przyjaciółom i czytelnikom za zaufanie, względy i poparcie, jakich mu nie szczędzili przez tak znaczny przeciąg czasu.

Dwadzieścia pięć lat, to żywot jednego pokolenia; zmieniło się też całe pokolenie czytelników od tej pory, gdy „Bluszcza“ rozwijać się i pięć zaczął, jednako i nieustannie w górę zawsze ku tym ideałom, które mu przyświecały od początku.

Jakby z nazwaniem krzewu, od którego zapożyczył dla siebie tytułu, wziął i jego naturę, starał się zawsze sięgać ku wyżynom i wznosić tam za sobą oczy i serca, a czy mu się to udawało, niech osądzą ci, którym to prawo głównie przysługuje: nasi wierni i bezstronni czytelnicy; niechaj choćby naszym następcom odpowiedzą na to pytanie wówczas, gdy zasłużymy się jeszcze więcej a żywotność pisma stwierdzi drugich lat dwadzieścia pięć jego istnienia.

Da Bóg doczekać tej okrągłej liczby półwiekowej w służbie publicznej, to pomyślimy dopiero o jubileuszu, który oby natrafił na chwilę, kiedy będziemy mogli z przeszłością zrobić jak najpomyślniejszy dla nas obrachunek!..

Skrzydlaty czas chyżo umyka a z nim życie ludzkie maleje coraz bardziej i w końcu tak go mało pozostaje, że człowieka aż lęk zbiera, gdy pomyśli o tem, jak niewiele będzie mógł już zrobić do końca. Wczoraj się było młodzieńcem, dziś się jest mężem, a jutro już będzie się starcem, w tych trzech dobach żywota, które nam dano tu na ziemi.

Te nie wesołe myśli przyszły mi na widok książki, świeżo wydanej z pod tłoczni drukarskich; jest to druga edycja dzieł Władysława Syrokomli (Ludwika Kondratowicza).

Pamiętam, jakby to w zeszłym roku było, owe pierwsze wydanie jego utworów w dziesięciu tomach, którem zajmowali się ś. p. Józef Unger, pp. Gebethner i Wolff i Maurycy Orgelbrand; pamiętam, jak się rzucano do prenumeraty, aby wdowie i sierotom poety dać kawałek chleba, którego nieboszczyk, jako mąż i ojciec nie mógł w spuściźnie zostawić.

Pamiętam, jak się to rozcinało skwapliwie tom za tomem i czytało świeży jeszcze druk tych poezyj, jak się z oburzeniem piorunowało na „chciwość poznańskiego księgarza M. Jagielskiego, który wbrew woli rodziny wieszcza i jej opiekunów rzucił w świat wydanie niby zupełne, a rzeczywistość oile na krzywdzie sierocy zbudowane, o tyleż pamięci Kondratowicza ubliżające“.

Tak mi się to wszystko dziś jeszcze niedawnem wydaje, a tymczasem jest temu lat... ośmnaście, jak widzę z przedmowy przeznacznych Pługa i Korotyńskiego, którzy zajęli się powtórą edycją utworów Syrokomli w pięciotomowym „Wyborze pism“ z poprzedniego całkowitego zbioru.

Strach, jak ten czas leci!.. jednak gdy pomyślę że na wyczerpanie pierwszej edycji dzieł jednego z najpopularniejszych poetów naszej epoki potrzeba było aż lat ośmnastu, to mi się jeszcze smutniej robi.

Dzisiaj dopiero można było przystąpić do nowego, skróconego wydania poezyj „wioskowego lirnika“ na korzyść pozostałej rodziny, której przyszłość zachmurzała troską ostatnie jego chwile, a której spokój zabezpieczył na tej jedynej spuściźnie literackiej.

Do końca bieżącego roku drogą prenumeraty wyjść ma pięć tomów tych „Poezji“, oddanych na skład główny do księgarni Gebethnera i Wolffa, za cenę całego egzemplarza rs. 5.

Pierwszy tom jest już w obiegu księgarskim i świadczy nader pochlebnie o wydawnictwie. Na czterystu kilkudziesięciu stronicach pięknego druku pomieszczono, oprócz pomniejszych utworów epickich, całego „Dęboroga“, „Kanonika Przemyskiego“ i „Margiera“ z obszerniejszych poematów Syrokomli.

Cena jest tak przystępną a wydanie tak staranne, że choćby sam cel nie zachęcał, to warto na być na własność dzieła poety, o którym bardzo słusznie druh i przyjaciel jego Wincenty Korotyński powiedział we wstępie do pierwszego wydania: „że przy nieprzebranej różnitości pomysłów i wdzięku formy artystycznej, przy coraz większej pewności pióra i głębokości reflexyi, duch w jego dziełach zawsze jeden pozostawał. duch cichej, rzewnej, niezgłębionej miłości... „Skargom jego nieodstępnie towarzyszyło przebaczenie a udręczeniom modlitwa o „mądrość boleści“.

Do bibliograficznej wzmianki o najświeższych nowościach wydawniczych u nas winienem być zrobić to dopełnienie, a nadto wspomnieć jeszcze o kilku cennych książkach, które godne są uwagi czytelników i miłośników literatury.

Oto w „Bibliotece najcenniejszych utworów literatury europejskiej“, wyszło staranne tłumaczenie słynnego poematu Camoensa p. t. „Luzyady“, tę epopeję w dziesięciu pieśniach z oryginału portugalskiego przełożył, objaśnieniami i życiorysem autora opatrzył, Adam M—ski.

W ostatnim dziesiątku zeszłego wieku, dokonał raz tej pracy Jacek Przybylski, monotonnym 13-zgłoskowym wierszem, odstępując w tej mierze od formy oryginału.

Dzisiejszy tłumacz sześć lat poświęcił przekładowi Camoensa, uczył się umyślnie języka portugalskiego, porównywał swój przekład z innemi i wydał go w tej myśli, że praca jego nie będzie płonną i że „Camoens zasługuje na to i dla poetycznej piękności jego dzieła, a więcej jeszcze dla idei, która je ożywia, dla idei wytrwałego służenia w doli i niedoli swemu społeczeństwu i krajowi“.

W dalszym ciągu cennego dzieła, na tak szerokie zakreszonego rozmiary, że niemal obce piśmiennictwa współczesne nie mogą się podobnym pochwalić, wyszedł tom trzeci „Dzieł literatury powszechnej z ilustracjami“ i zawiera okres pierwszy: „Czasy humanizmu i reformacji“, znajduje się tu literatura włoska XV i XVI-go wieku, opracowana przez gruntownego jej znawcę p. Edwarda Porębowicza, oraz literatura hiszpańska wieku złotego, literatura portugalska i francuska XVI-go stulecia w świetnym opracowaniu znanego popularyzatora i tłumacza, Juliana Adolfa Święcickiego.

Z dzieła belletrystyki wydano w tejsamej „Bibliotece“ zbiór rozrzuconych po pismach lub pominiętych w ogólnej edycji „Nowel“ i drobniejszych opowiadań J. I. Kraszewskiego.

Spory tom o kilkuset stronicach daje się czytać z prawdziwym zajęciem i przyjemnością.

Ta ostatnia nowość, złożona ze starych zapomnianych po większej części prac, niezmordowanej za życia twórczości Kraszewskiego, przypominała nam inną jego spuściznę, która, niestety, będzie musiała pójść namarnie dlatego, że jej w całości utrzymać się nie da; mówię o cennej i bardzo starannie przez długie lata zbieranej bibliotece autora „Starej baśni“, której grozi zagłada na publicznej licytacji częścikowej z powodu, że nie znalazł się dotąd żaden mecenas literatury, bibliofil, żadna instytucja, któraby zakupić chciała całość.

Czynione oferty ze strony p. Franciszka Kraszewskiego, nie odniosły żadnego skutku ani w galicyjskim wydziale krajowym, ani w Bibliotece imienia Ossolińskich we Lwowie.

Pójdą tedy na sprzedaż „białe kruki“ cennych wydawnictw dawniejszych i nowszych, podobnie jak biblioteka pozostała po ś. p. księdzu kanoniku Polkowskim w Krakowie.

Zamiłowanie do zbierania książek za życia mści się najczęściej po śmierci na... kieszeni spadkobierców, którzy nie chcą lub nie mogą nagromadzonych skarbów bibliograficznych utrzymywać dalej własnym kosztem; owoc długoletnich starań, znacznych kosztów i pracy, marnuje się potem za bezcen, często na wagę samego papieru.

A jednak taka biblioteka po znakomitym piarszu, powinna być z podwójnych względów być ocaloną: najpierw jako obfite źródło dzieł systematycznie zbieranych i kompletowanych, a powtórnie jako pamiątka po autorze, o którym przecież powiadano, iż całe pokolenia u nas, popolsku czytać nauczyły...

Co prawda, na nabycie takiej biblioteki, potrzeba kilku dość rzadkich w tych czasach warunków: najprzód pieniędzy, a potem zamiłowania do książek i studyów literackich, a nadto odpowiedniego pomieszczenia; pieniądze u nas nie idą w parze ze skłonnościami do literatury, a na odwrót literackie gusta i upodobania obywać się najczęściej muszą bez mamony: trudno tedy o takiego prywatnego nabywcę, któryby, szczerliwym zbiegiem okoliczności, łączył w sobie takie niepospolite kwalifikacje na bibliofila.

Duże biblioteki i instytucje naukowe po większej części posiadać muszą zbiory tych samych dzieł, więc duplikatów nie mają potrzeby nabywać, i dlatego prywatne księżnice

muszą się marnować, jeżeli spadkobiercy nie mają żadnego interesu lub obowiązku w ich zatrzymaniu i nie chcą lub nie mogą ponosić ofiar dla zachowania zbiorów takich w całości.

Zresztą w naszych praktycznych czasach lokowanie kapitału w bibule nie jest żadną spekulacją; co to daje za procent, jakie zyski?... książka o tyle jest warta, o ile się ją przeczyta, a do czytania albo to ludzie mają czas, głowę, zwłaszcza ci, którzy kapitałami muszą obracać!

Przecież wiele korzystniejszych interesów nie może zachęcić naszych finansistów do zaryzykowania swoich pieniędzy, i dlatego słyszymy ciągle o propozycjach i zakusach obcych kapitalistów, mających łatwiejsze środki i więcej zaufania do przedsiębiorstw u nas na wielką skalę.

Wspomniałem już o projekcie p. Devarsa w sprawie obulwarowania Powiśla, obecnie tworzą się spółki cudzoziemców, chcących budować w Warszawie wspinałce „passaże“, czyli kryte, wystawne przejścia z jednej ulicy na drugą, zamieniane zwykle na bazar przeróżnych sklepów i magazynów.

Innym przyszła ochota skorzystać z kanalizacji i na wzór Paryża, Wiednia lub Berlina wystawić na ulicach domki bardzo wygodne i potrzebne pod względem higieny—i czystości miasta.

Jakkolwiek inicjatywie cudzoziemców zawdzięczamy w Warszawie już wiele praktycznych urządzeń, jednak nie zawsze możemy być z nich całkowicie zadowoleni; tramwaje np. ułatwiły komunikację to prawda, ale w stosunku do wiedeńskich, berlińskich, paryżkich, a choćby lwowskich i krakowskich, są jeszcze za drogie, podział na dwie klasy zbyt techniczny, a niewprowadzenie biletów korespondujących, za którymi możnaby się bez straty czasu przesiadać z jednej linii na drugą, jest lekceważeniem uprawnionych żądań i wygodny dla pasażerów.

Mamy np. telefony, wynalazek znakomity, bardzo potrzebny, co prawda, drogi, bo kosztujący 150 rs. rocznie, ale niechby przynajmniej naprawdę był pożyteczny za te pieniądze; tymczasem przy perzadkach istniejących na stacji głównej, przy urządzaniu aparatów nie najlepszego systemu, rozmowa telefoniczna więcej irytacji i czasu kosztuje, niż to warto.

Skargi i uzalania abonentów, głosy w prassie i napomnienia niewiele skutkują, porządki w połączeniach, opóźnienia, przerwy podczas rozmowy, roztargnienia duchów obsługujących i figle elektryczności, powtarzają się nieustannie.

Byłby na to środek: konkurencja miejscowa, ta konkurencja, która sprawiła, że wkrótce darmo będzie można jeździć statkami parowymi po Wiśle, że koleje żelazne muszą obniżyć taryfy, bo prości furmani rywalizują z lokomotywą między Tomaszowem rawskim np. a Warszawą i o 1/8 ceny taniej i wygodniej przewożą towary i pakiunki, ta konkurencja nauczyłaby większej względności panów Belgów od tramwaju i panów Yankesów od telefonu.

Jedna rzecz mnie tylko pociesza w tych sprawach: oto pesymistyczne przecucie, że gdyby te przedsiębiorstwa prowadzone były miejscowymi siłami i zakładane miejscowym kapitałem, to prawdopodobnie obsługiwałyby nas jeszcze gorzej i, nie przynosząc żadnych zysków, bankrutowałyby po pewnym przeciągu czasu.

To się nazywa „fatalnością“ w frazeologii, ale niezarażonością najczęściej w samym fakcie.

Nie wiem, która z tych dwóch przyczyn przesładowała tak długo nasz Ogród zoologiczny i spowodowała na niego ostateczną katastrofę, obwieszoną przez „Kuryery“ całej Warszawie pod tytułem: „Pomór w Zwierzyńcu.“

Stała się bowiem niespodzianka najgorszego rodzaju, że właśnie w ciężkiej chwili narad nad reorganizacją Ogródu, likwidacją spółki, wynalezieniem środków ocalenia całego przedsiębiorstwa i wkładzie akcyonaryuszów, zaczęły chorować najrządzące i najkosztowniejsze zwierzęta dzikie i zdychać nagle.

Padł tygrys, wartości kilku tysięcy marek, padł lew i pantera, a dogorywają lwica, lampart, tygrysica i inne biedne bestie w niewoli u człowieka zostające.

Sekcja okazała zakażenie krwi u tygrysa, co zapewne i u innych zwierząt będzie miało miejsce, gdyż przyczyną choroby była żywność nieswieża, a według zdania niektórych, zatruta.

Zwierzęta dostawały mięso końskie do jedzenia: pierwotnie zarząd nabywał konie na własną rękę, kazał je zabijać w Zwierzyńcu i miał tę pewność, że świeżym mięsem karmi swych drapieżnych stołowników w klatkach.

Gdy policja zabroniła tej operacji, zarząd Ogródu postąpił się o dostawcę w osobie niejakiego Fałka ze wsi Ochoty.

Z początku pan dostawca nabywał na targu praskim konie obejrzone i uznane za zdrowe przez weterynarza i dotąd było jeszcze wszystko w porządku; do kontroli należał wysłaniec Ogródu zoologicznego, który musiał asystować przy zabijaniu koni na miejscu, ale z czasem kontrola ta ustała, zawierzono uczciwości dostawcy, zwłaszcza po złożeniu kaucji w kwocie 200 rs., i pozwolono mu dostarczać mięso, jakie uzna za stosowne.

Tu przyczyna katastrofy.

Dostawca, dbając o swoją własną kieszeń więcej niż o żołądek dzikich bestyj, dostarczał zapewne padliny, a może, jak przypuszczają, złał komił się na mięso koni otrutych arsenikiem (podobny wypadek zdarzyć się miał w tych dniach na Pradze) i przypuszczając, że lew, tygrys, pantera i hyena wszystko strawić muszą, podsunął im taki zdradliwy żer.

Obecnie przez ubytek najważniejszych okazów żywego inwentarza w Zwierzyńcu, nie tylko ciężkie straty poniósł majątek spółki, ale sam Ogród zoologiczny stracił bardzo wiele ze swej atrakcji.

Na zapelnienie klatek nowymi exemplarzami niema na razie funduszy i niełatwo się znajdują, skoro i tak chroniczny deficyt przesładował to przedsiębiorstwo od tak dawna, a ostatni cios podkopał jeszcze bardziej jego fundamenta.

Można powiedzieć, że się naszemu Zwierzyńcowi nieszczęściu od owego tragicznego wypadku z niedźwiedziem, a obecnie chyba sprzyściły się losy na jego zagubę.

Położenie jest ciężkie, wobec którego podobno delegacja wybrana do wypracowania nowej ustawy i planu przeobrażenia spółki Ogródu Zoologicznego na Towarzystwo aklimatyzacyjne złożyć miała swoje mandaty.

Szkoda tyloletnich zachodów, starań, pracy, pieniędzy włożonych w przedsiębiorstwo, które mogło jedynie się utrzymać przy wielkim kapitale zakładowym i zabezpieczeniu towałego gruntu Ogródu; przy ciągłym zaś lawirowaniu między wirami niedoborów i braku gotówki musiał nastąpić prędzej czy później taki koniec.

Od tego smutnego tematu, który musi być zapisany w rubrykę ujemnych faktów naszej kroniki bieżącej, przejdźmy do dodatnich.

Należy do nich piękna i szlachetna ofiara małżonków Levych, którzy kosztem kilkudziesięciu tysięcy rubli wybudowali przytułek dla rekonwalescentów, wychodzących ze szpitali warszawskich.

Ten filantropijny zakład poświęcony został zeszłej niedzieli przez ks. rektora Chełmickiego, i pobłogosławiony przez kaznodzieję synagogi na Tłomackiem, D-ra Bernarda Cyłkowskiego, albowiem fundacja pp. Levych ustanowioną została po polowie dla chrześcijan i dla żydów.

Budynek podzielony na dwa oddziały służyć będzie za przytułek dla ubogich obu wyznań bez wszelkiej różnicy; pocucie miłosierdzia i humanitarnych obowiązków poddało fundatorom tę szlachetną myśl, mającą i swoje społeczne znaczenie.

Sześćdziesiąt łóżek stoi na pierwszym piętrze w osobnych salach dla chrześcijan i dla żydów, dla mężczyzn i dla kobiet; na parterze mieszczą się sale jadalne, mieszkanie dwóch intendentów i kredensy, w suterenuach kuchnie, pralnie, piec dezynfekcyjny i służba.

Urządzenie jest wygodne, sale widne, obszerne, wentylowane, oświetlenie gazowe, słowem: zakład odpowiada swojemu przeznaczeniu i dzięki ofiarności prywatnej fundatorów stoi na wysokości swojego zadania.

Sama instytucja opieki nad rekonwalescentami istnieje wprawdzie od lat dwudziestu; powstała z inicjatywy pp. Władysława Wołoskiego i Alexandra Makowieckiego i może się pochłubić, że niejednego nędzarza uratowała od śmierci głodowej.

W sprawozdaniu jej za rok 1888-y czytamy, że dała przytułek w tym jednym roku 969-ciu osobom, które przebyły 7.561 dni instytucyjnych i przecięciowo po wyjściu ze szpitali tydzień spędzały jeszcze na koscie publicznym.

Zdrowie umyka szybko, ale powraca powoli, zółwim krokiem, a zanim taki biedak odzyska siły do pracy, nędza podgryza mu je najczęściej powtórnie i zamiast do życia, prowadzi go, jako recydywistę, do szpitala lub na cmentarz.

Jakąż piękną zasługę zdobywa sobie instytucja, nad której drzwiami umieszczono słowa psalmisty: „Jam ci jest ubogi i zbolący, zbawienie Twoje Boże, wspomogło mnie“...

Bardzo właściwie też otwarcie tego przytułku nastąpiło na zimę, która zwiększa proletaryat na miejskim bruku i powiększa ubóstwo i nędzę w klassach pracujących a pozbawionych o tej porze zarobku; wprawdzie w roku bieżącym postanowiono obostrzyć przepisy przeciw szerzeniu się proletaryatu i wszystkich przybyszów bez zajęcia i środków utrzymania wysiedlać natychmiast z Warszawy, zaliczając do tej kategorii i służących obojga płci, pozostających choćby przez miesiąc bez obowiązku, jednak i z miejscowego żywiołu utworzy się liczny zastęp biedaków bez chleba i przytułku, o których dobroczynność dbać będzie musiała z nastaniem pierwszych mrozów.

Gdzie jeszcze te czasy, w których, jak w „Roku 2000-czym“ Belamy'ego nie będzie nędzarzy, bo wszyscy ludzie znajdą pracę i zajęcie do lat czterdziestu pięciu, a potem jako emeryci na dobre zasłużonym chlebie po wystąpieniu z armii roboczej będą żyli spokojnie i bez troski o jutro!..

Tymczasem to „jutro“ bywa najstraszniejszą dla nich zagadką, gwoździem, który tkwi w ich głowie i sercu. Filantropia bierze obcegi i takie gwoździe wyciąga jednemu i drugiemu, ale wszystkich od nich oswobodzić nie może i chyba nigdy nie potrafi.

Pomysłowość filantropijna w wynalezieniu środków pomocy dla ubogich zdobyła się na dobry projekt, który zaświtał w głowie jednego z członków Towarzystwa Dobroczynności, p. Polaczka; oto zauważył on bardzo słusznie, że Warszawę najeżdżają rozmaite orkiestry zagraniczne, złożone z węgierskich malców, z wiedeńskich niedorostków, z jakichś tam mieszczańskich bębnow i hanowerskich smyków, i że to wszystko po większej części różni się tylko tytułem, a gra, jak Pan Bóg pozwoli, czasem lepiej, czasem gorzej.

Skoro cudzoziemcy mogą mieć ze swoich dzieci taki pożytek i pociechę, dlaczegożbyśmy nie próbowali tejsamej sztuki?.. jest przecież cały przytułek dla osieroconych chłopców w gmachu poddominikańskim, jest zatem materiał na orkiestrę, która może mieć ujmujący tytuł „orkiestry sieroczej“.

I nie odkładając, warszawskim zwyczajem, dobrego pomysłu na jutro, zabrał się p. Polaczek od razu do jego wykonania; wyszukał kapelmistrza, który ma nuty, instrumenta i ochotę wyuczyć chłopców muzyki, sformować z nich orkiestrę i po roku już popisywać się z nią na estradzie.

Przypuszczam, że ta nauka i przygotowania potrwać znaczenie dłużej, niechby dwa, a nawet trzy lata, ale gdy doprowadzą do pożądanego skutku, możemy się doczekać własnej „specjalności“ w tym rodzaju i zyskać sierocą orkiestrę, która równie dobrze czas nam uprzyjemniać będzie, jak „węgierskie kadety“ lub „dzieci Wiednia“, a jako nowość nawet więcej zajęcia wzbudzić gotowa.

Tymczasem pójdziemy słuchać innej muzyki, na którą od roku cieszą się już warszawscy melomani; w Niedzielę 19-go b. m. na korzyść kassy pożyczkowej i zapomogowej artystów i oficjalistów teatralnych odbędzie się w salach redutowych niebywały koncert, na którym wykonana zostanie słynna „Symfonia IX-ta“ Beethovena

z chórami, arcydzieło wśród kompozycji całego świata.

W koncercie przyjmie udział przeszło 400-ta osób!..

Zdaje mi się, że naszej szerszej publiczności ta monstrualna, jak na Warszawę liczba więcej zaimponuje, niż cały Beethoven, i dlatego wnioskuje, iż do sal redutowych nie będzie się można dotłoczyć na pierwszy koncert symfoniczny.

Wszystko jedno, co wpłynie na tłumy, byle cel był w tym wypadku osiągnięty, bo kassa potrzebuje zasilku, a użyteczność swoją stwierdziła tego lata bardzo korzystnie, pożyczając artystom... gażę podczas pustek w teatrze.

Quis

KAZIMIERZ GLIŃSKI.

„AVE!“

OBRAZEK WSPÓŁCZESNY.

Na niewielkiej pochyłości wzgórzu, które się kończyło pięknym wybrzeżem wąskiej, lecz o wartkich nurtach, rzeczki — rozłożyła się wieś szeroko. Białe chaty z gospodarskimi zabudowaniami kryły się w cieniach drzew wiśniowych, a że to było w pierwszej połowie wiosny i drzewa zakwitły obficie, cieszyły się większe dzieciaki i wróble szare nadzieją słodkiej przyszłości.

— Spójrz ta, Jontek, będzie wisien jak maku...

— Byle ino dojrzały prędeży!

— A poradzimy już z niemi — nie prawda?

— Ćwrik! ćwrik!.. głosem dziecięcym odpowiadały wróble z blizkiego płotu, jakby potakiwały małej gromadce chłopaków, bawiącej się gwarliwie na środku ulicy.

We wsi było pusto, bo gospodarze mieli pilną robotę w polu; dosiewano owies, doorywano zagony pod grykę, kobiety w bujną ziemię rzuciły ziarna konopi i lnu, a musiano się śpieszyć, bo zima przeciągnęła się zadługo i zdawało się, że nierychło ustąpi — gdy nagle jeden ciepły promień słońca stopił śniegi, ziemię osuszył, kazał listkom rozwinąć się prędko, drzewom zakwitnąć, że ani spostrzeżono, jak ziemia cała wzięła na siebie strój godowy: zazieleniły się trawy, zadzwoniły komary nad rzeczką; „kum-kum“ odezwały się żaby, słowik zaczął piersi stroić, a bociany na gniazdach swoich zaklekotały.

To czarodziejstwo wiosny znane jest tylko siół mieszańcom. Ziemia drży — szumi — brzęczy, płyną wonie i światła, mistrzyni natura kładzie farby na farby i ruchem gorączkowym tka wspinały kobierce zieleni. Takie dźwięki płynęły nad wioską naszą; zapachy bzów i czeremchy unosiły się w powietrzu; żółte jaskry, białe pierwiosniki zakwitły na urwach i wzgórzach.

Po obu stronach rzeczki szerokim pasem rozciągnęły się łąki. Puszysta, jasna trawa, przetykana gdzieś tam żółtym albo błękitnym kwiatem, okrywała przestrzeń równą, gładką, obramowaną gęstą frendzlą pięknego lasu, który na horyzoncie czerniał w oddali. Rzeczka, jak wąż srebrny, skręcając się nalewo, to naprawo, płynęła wśród tej zieleni, a widocznie miała źródło swoje w pobliżu, bo zrazu strugą wąziutką wysunęła się z leśnych zarośli, koło wioski szerzącej przestrzeń zajęła, dalej zaś rozlała się w staw szeroki, na końcu którego, zatrzymana nasypem sztucznym, chcąc biedz dalej, musiała obrócić koło młyńskie, pienistą falą wylać zlecieć, znowu się zwięzić i poszukać przejścia między zieloną ścianą świerków i lip, wśród których rozsiadł się starożytny pałac hrabiów Wapowskich. Wspinały park obiegał półkolem jasną szybą rozlanego stawu, piękne gazony dotykały brzegu, przy którym drżała, poruszana lekkim tańcem fal,

w kształcie gondoli weneckiej, łódź biała. Kamienna grobla łączyła wieś z siedzibą pańską.

Była godzina piąta po południu. Ku lasom, chyliło się słońce, złoćło jasnym promieniem miedziany dach pałacu, tysiącem światła łamało się w nurtach szybko płynącej rzeczki, oblewało włościńskie chaty i sady wiśniowe jakimś miękkim, wiosennym ciepłem. W błękitnie, zieleni i świetle tonęła wieś cała, lasy, łąki i pola; krzyż na wyniosłej kopule wieżyczki kościelnej jak gwiazda świecił, rozszerzył ramiona swoje i mówił się zdawał: przyjdźcie do mnie!

Choć daleko do wieczora, daleko do nocy było, cisza jednak panowała we wsi. Ludzie przy pracy, konie i wołki w bronach lub radłach, bydło na łąkach. Chaty zdawały się drzeć pod osłoną białego kwiecia drzew wiśniowych, gdzieś tam tylko warczały psy, a gromadka wróbli pierzchła nagle, obłokiem kurzu zasypując oczy rozigranych chłopaków wiejskich.

Nad samym brzegiem stawu stała chata większa od innych, którą można byłoby domkiem nazwać, bo i komin mурowany wybiegł nad strzechę i ganek o dwóch słupkach naprzód się wysunął. Bawiąca się dziatwa co chwila spozierała na drzwi owego domku; niejednen malec skradał się na palcach do okien stojących otworem i wzrok ciekawy wewnątrz zapuszczał.

Drzwi się otwarły i wyszedł na ganek człowiek bardzo młody, lat dwudziestu pięciu; jasny zarost okalał twarz do chrystusowej podobną, strój na sobie miał szary. Działwa się zerwała z radosnym krzykiem otoczyła „pana profesora“, który, gładząc z uśmiechem płowe główki dzieciaków, przemówił do nich słów kilka i na czele gromadki całej wszedł do szkoły.

Kilka rzędów ławek stało pośrodku niewielkiej izby, przy oknie zaś był stół z krzesłem, na którym usiadł pan Jerzy Ławski. Po chwili mała komnatka zabrzmiała gwarem różnych głosów; nauczyciel coś mówił, działwa powtarzała, kilkoletni zaś malce, nie mając miejsc sobie przeznaczonych, rozłożyli elementarze na ławkach profesora.

— B-a, ba... c-e, ce... — powtarzał sześciolatek chłopak, wskazując palcem na każdą literę zosobna.

— Bal, bąk, lyk — jakaś drugi pędrak, za każdym wyrazem ruszając głową, jakby to mu pewną ulgę przynosiło w czytaniu.

— Pan Bóg stwo-rzył nie... Pan Bóg stworzył nie-bo i... Pan Bóg stworzył niebo i zie-mię... Pan Bóg stworzył niebo i ziemię, — czytał znów trzeci, trzymając łokcie wsparte o kolana nauczyciela.

— A na co ciebie stworzył? — zapytał Jerzy.

— Ażebym kochał chatę ojcową i ziemię na której ona stoi — odpowiedział malec.

Ławski ujął głowę chłopca, przytulił do piersi, ucałował i zaczął słuchaczom swoim wykladać znaczenie miłości.

Promieniała radość na twarzy młodego nauczyciela, gdy każde słowo zrozumiane zostało, pojęte dobrze; gdy widział, że rozwijają się umysły, szlachetnieją serca uczniów. Piękne jego usta poruszał uśmiech wielkiego szczęścia, błękitne oczy zapalały się ogniem jasnym.

Po półgodzinnej nauce z elementarza Ławski dał malcom do przepatrzenia książki z rycinami, starszym kazał napisać z pamięci wiersz, wczoraj zadany do wyuczenia się, sam zaś zwrócił się do okna, z którego widać było błękitną szybę stawu, a za nim rozciągający się gazon z pałacem na końcu. Wzrok jego na pałac padł i nie mógł się oderwać od ścian jego. Wpatrzył się, zamyslił i nie słyszał dwukrotnych wołań uczniów:

— Panie profesorze — już!

Za trzecim razem dopiero ocknął się z zadumy i wziął kajety do poprawienia błędów.

Wtem zadzwoniła lekko szyba w oknie, przy którym siedział. Ławski wstał szybko, wyrzwał nazewnarz, ale dokoła było pusto, poruszały się tylko krzaki bzów, jakby kto je przed chwilą w lekkim przebiegu potrącił. Powrócił więc do przerwanych zajęć, podkreślał błędy, tłómaczył reguły gramatyczne, gdy znów lekko szyba zabrzękała i Ławski dostrzegł wyraźnie małą kobietę rączkę, która gałązką bzu, usianą

pękiem liliowych kwiatów, dotknęła szyb szklanych. Podniósł się, silny rumieniec na twarz mu wybiegł — dał znak, że lekcye skończone i, ucałowawszy pilniejszych uczniów, wyszedł za nimi na ganek. Baczne oko dostrzegłoby łatwo, że drżał lekko, a serce gwałtownie mu bić musiało.

Dziatwa, w skokach, śmiejąc się i wywracając koziołki, rozbiegła się na wszystkie strony. Jerzy wsparł się o słup drewniany, niepewnym okiem patrząc dokoła. Wiatru nie było, a kołysały się lekko krzewy bzów, które rosły przy ścianach domu.

Jerzy podszedł do miejsca, z kąd cichy szmer dolatywał.

— Pani? — zapytał zdziwiony, stając nagle.

Za krzakami stała ukryta prześliczna postać młodej kobiety. Lekka, błękitna suknia, złocistym paskiem w kibici ujęta, otulała ją całą; na obnażone ramiona spadały bujne warkocz kruczonych włosów, koralowe usta śmiały się, oczy czarne, duże, patrzyły przenikliwie w twarz zbliżającego się.

Była to mieszkanka pałacu — panna Irena Wapowska.

— Pani?.. powtórzył Jerzy.

— Co pana tak dziwi? — zapytała, wychodząc z ukrycia.

Usta jej wciąż się śmiały, oczy jak dwie gwiazdy promienne trzymała utkwione w źrenice stojącego przed nią mężczyzny.

Powieki Ławskiego zaczęły drżeć lekko, jakby je raził blask tych oczu, które ze wzmocnioną siłą patrzyły wciąż uparte, piękne... Podała mu rękę małą, śliczną — paluszki były różowe, kształtne, jakby tylko-co wyszły z pod dłutą rzeźbiarza.

Jerzy ujął podaną dłoń; ręka jego w miękkim uścisku panny Ireny zadrżała. Przelotny uśmiech poruszył usta kobiety.

— Wolaleś pan, żebym go w inny sposób zawezwała?

— To dla mnie obojętne..

— Obojętne?.. — przerwała Irena, usuwając rękę.

— Pozwól pani dokończyć — ciągnął Ławski.

— Zapewne, że powinien się pan wytłómaczyć.

— Nie mam z czego, panno Ireno, gdyż powiedzieć chciałem, że obojętnym jest mi *sposob*, nie — *wezwanie*.

— Aaa! — zaśmiała się hrabianka — to co innego!..

Różowemi ustami zaczęła muskać trzymane w ręku kwiaty; powieki teraz miała spuszczone, ale czuła, że wzrok młodego człowieka spoczywał na niej, ślizgał się po niej, zatrzymywał się na czole, ustach, dotykał ramion. Stała tak chwilę przed nim, pozwalając jego oczom pieścić się sobą.

Ławski pannę Irenę przed paru miesiącami poznał u proboszcza. Panna Wapowska wiedziała, że na wsi jest jakiś nauczyciel, który uczy dzieci chłopskie, nie wiedziała tylko, że ten nauczyciel był przed niedawnymi czasy studentem uniwersytetu. Zdziwiło ją to... Obojętne lecz ciekawe oczy zwróciła na niego. Śmieszyły ją trochę jego ruchy niesalonowe, ułkon niezgrabny, strój bezpretensjonalny — lecz niebrzydki wcale miał oczy, nawet ładne, nawet bardzo ładne, pełne wyrazu, jakiejś myśli głębokiej, nieznikającego smutku, w tych chwilach nawet, gdy usta się śmiały. Dwa lata temu Wapowski z Ireną przybył z zagranicy do dóbr swoich i od tej chwili nie opuszczał prawie pałacu. Sasiadów nie znał i nie myślał wcale zabierać znajomości z nimi; byli to zresztą przeważnie koloniści niemieccy, a gdy się znalazł jakiś folwarczek nie w ich pręku, to siedział na nim zbyt chudy szlachcic, by mógł być przypuszczonym do stołu pańskiego. Pusto więc było w starożytnej Wapowskich siedzibie. Czasami tylko jakiś pan przybył zdaleka — bawił krótko, potem znów zalegała cisza. Mówiono o złym stanie interesów hrabiego, niepozwalającym na powtórzenie zbyt kosztownych wycieczek — bądź co bądź; panna Irena się nudziła.

Niespełna rok będzie, jak Ławski otworzył szkołę. Z dworem nie miał żadnych stosunków.

uprzedzony zresztą był może do klasy uprzywi-
leowanej. Raz pierwszy zobaczył Irenę na białej łodzi przepływającej staw. Stał właśnie na brzegu, otoczony, jak zwykle, gromadką dzieci. Łódź powolnym ruchem, zataczając szerokie półkole, przesunęła się niedaleko, zdawała się nawet bieg zwalniać, wstrzymała się na chwilę, i wtedy dojrzał piękną postać dziewczyny, która, unosząc nieco głowę, spojrzała mu w oczy. Spojrzanie się ich spotkały, lecz ona, jakby gniewna za to śmiałe zwrócenie jego oczu, znaczącym ruchem odwróciła się szybko i dalej popłynęła. Od tej chwili, nie wiedząc sam dla czego, ile razy zobaczył łódź odbijającą od przeciwnego brzegu, stał w oknie swojego mieszkania i śledził ją wzrokiem. Do brzegu jednak już nie podchodził, odsuwał się nawet, gdy łódź podpływała z blizko, lecz niewidziany, stojąc w głębi pokoju, nie mógł oczu oderwać od wdzięcznym ruchem kierującej łodzią wiosłarki. Razu jednego znów ją zobaczył. Podpłynęła bliżej niż zwykle, zatrzymała się dłużej, wreszcie podniosła się, stanęła na łodzi i ślicznymi swoimi oczami powiodła wzdłuż brzegu, jakby szukała kogoś. To mu sprawiło przyjemność. Uczuł, że serce zabiło mu mocniej, niż kiedy. Podszedł do okna, ale łódź drgnęła i oddaliła się szybko.

Przez kilka dni nie podpływała wcale; po stronie przeciwnej wzdłuż pałacowych ogrodów krążyła. Następnie powtórzyło się znów to samo: on nie wychodził, łódź podpływała coraz bliżej, panna Irena zatrzymywała się na chwilę i wzrokiem szukała kogoś.

Przed trzema miesiącami poznali się u proboszcza. Gdy ksiądz Józef przedstawiał nauczyciela, nie patrzyła wcale na niego. Co ją mógł obchodzić niedouczony student jakis?.. dopiero słowa: „doktor filozofii..“ zelektryzowały młodą kobietę...

— Doktor filozofii — nauczyciel chłopskich dzieci... a co to? — szepnęła. Sam Wapowski poglądził faworyty i ciekawie spojrzał na Ławskiego. Stopień naukowy przy dwudziestu pięciu latach wieku, zaintrygował obecnych.

Zebrań u proboszcza było liczne, bo dnia tego przypadało jakieś uroczyste święto. Wapowski dumnie skinięciem witał mało mu znanych sąsiadów, którzy czuli się kępowani obecnością wielkiego pana. Gdy głos zabierał w jakiejś sprawie ogólniejszego znaczenia, „Tak, panie hrabio!“ tu i tam dawało się słyszeć.

— A pan, panie Ławski, jakiegoś zdania? — zapytał Wapowski, zwracając się do milczącego Jerzego.

— Zupełnie przeciwnego, panie hrabio! — odrzekł zapytany.

Wywiązała się dysputa. Jerzy miał dar krasomówczy, znał przedmiot, o którym rzecz była, mówił z zapalem, był pewny siebie. Proboszcz z zadowoleniem patrzył na niego. Irena nie rozumiała doniosłości traktowanego przedmiotu, oczu jednak z młodego mówcy nie spuszczała. On czuł to spojrzenie na sobie, cieplejsza krew napływała mu do serca, a z ust biegły wyrazy pełniejsze, bardziej wykończone okresy. Mówił o potrzebach chwili, o odlogiem leżących łanach olbrzymich, o potrzebie zasiania tych łanów. Panna Irena nie pojmowała nic z tego, widziała tylko, że nauczyciel dzieci chłopskich musiał dużo umieć, gdy tak śmiało z jej ojcem mówił. Wapowski zaprosił Jerzego na obiad do siebie; Jerzy zaproszenie przyjął z wielkim zadowoleniem Ireny.

Panna Irena nudziła się. Dwa lata przesiedziała na wsi, ona — przyzwyczajona do życia w stolicy, wychowanka niemal Paryża. Z niecierpliwością oczekiwała chwili wyjazdu, ale ojciec jej żądaniom zadość nie czynił.

— *Pas moyen*, Irenko! — mówił — muszę w pierw uregulować majątkowe interesa.

— Jakie? — pytała... Przecie ekonomowie i rzadcy zajmują się gospodarstwem.

— Tak — ale... widzisz, są należności pieniężne, które uregulować potrzeba.

— To niech ojciec reguluje jak najprędzej!

— Mam długi...

— Dlaczegoż ojciec nie płaci?..

Wapowski potargał faworyty.

— Potrzeba na to pieniędzy, nawet dużo pieniędzy...

— To proszę pojechać do banku, wziąć wiele tam potrzeba — i wszystko skończone.

Hrabia uśmiechnął się, ale namarszczył czoło.

— Gdybym miał kapitały, nie miałbym długów — szepnął.

— Jakto? ojciec nie ma pieniędzy?

— Tak, moje dziecię — nie mam!

— Nie rozumiem!.. majątek taki ogromny!..

Wapowski zbliżył się i pocałował córkę w czoło.

— Cierpliwości trochę, *ma belle*... Paryż nie ucieknie.

Wyszedł do gabinetu.

Panna Irena wzruszyła ramionami i nad staw pobięła.

Dziecięciami jeszcze była, gdy odumarała ją matka. Wychowywała się przy ojcu pod opieką starej Francuzki, która miała pretensyja należeć niegdyś do rzędu dam wielkiego świata. Od lat najmłodszych prawie ciągle z ojcem i Florą przebywała ciągle zagranicą, na parę miesięcy letnich wracając tylko do kraju, w ciągu których ojciec zaopatrywał kieszeń, zaciągał długi, bo dochody z ziemi nie wystarczały na życie królewskie. Przed dwoma laty wróciwszy do dóbr swoich, rozpatrzył stan fortuny i ujrzał się nad brzegiem przepaści. Nie myślał jednak o ratunku w szlachetnem znaczeniu tego słowa: myślał o dobrej sprzedaży ziemi lub zięciu bogatym.

Dobra Wapowskich leżały na kresach; ostatnie to były tam już wielkie dobra. Tułały się gdzieś tam szlacheckie małe fortunki, ale fortuny pańskie do rąk obcych przeszły już dawno. Lud jeno siermiężny stawiał zapórę przeciw naciskowi fal germańskiego morza, ale czy się utrzyma? to było zagadką przyszłości. Tę zagadkę chciał rozwiązać Jerzy Ławski. Nauka, światło — to siła!.. Bez tych potęg wiele już ziem słowiańskich bezpowrotnie zginęło.

Na pannie Irenie przyjemne wrażenie zrobił młody nauczyciel. Miała do kogo przemówić. Jemu bytność w pałacu nie zaimponowała wcale. Na wiele przedmiotów zbytku musiała gwałtem zwracać jego uwagę. Zdawał się ich nie widzieć, czy nie chciał wiedzieć... To ją trochę poirytowało, ale... przypominała sobie, że był uczonym. Ławski urosł nieco w jej oczach. Zaczęła go darzyć swoją przyjaźnią, a wkrótce wszystkie czary wdzięków swych rozwinęła, jakby go chciała przykuć na wieki do siebie. Podpływając do brzegu, nie umykała już, gdy on się pojawiał; nie wychodziła wprawdzie z łodzi, lecz zawiązywała z nim rozmowę, czarowała go cudnymi oczyma, czasem tkliwie poglaskała słowem. Zdawała się rozumieć cel, do którego dążył. Czasem jego zapal ją ogarniał... ach! jakimi wtedy oczami patrzyła!..

Jerzy czuł, że jakaś zmiana zachodzi w jego sercu. Szczęśliwy był, gdy, stojąc na brzegu, rozmawiał z siedzącą w łodzi Ireną; ogarniała go tęsknota, gdy dzień dżdżysty nie pozwalał tej łódce białej zakotwić się na falach wzburzonego stawu. Wolne chwile od pracy przepędzał w oknie swojego pokoju, z oczyma zwróconemi na pałac.

Tak na tęsknocie oczekiwań i spotkaniach nad brzegiem stawu przeminęły pierwsze dni wiosny. Ostatni tydzień zaznaczył się niepogodą. Jerzy Ireny nie widział i poczuł, że mu zabrakło części duszy, części serca. Ale po kilku dniach kaprysów natury dzień dzisiejszy wszystkimi czarami wiosny zabłysnął. Śpiewały słowiki, bzy kwitły, ciepłe, dobre słońce nurzało się w morzu błękitów, a choć łódka nie zakotwiła się na falach szafirowego stawu — kto wie? czy nie większego szczęścia doznał, zasłyszawszy to lekkie stuknięcie w okno, rączki Ireny. Wybiegł — było mu serce... Ukryta w krzaczkach bzów, z rozkosznym uśmiechem na ustach — stała Irena.

Stała ze spuszczonemi oczyma, różowemi ustami muskając liliowe listki kwiatów. Czuła spojrzenie jego na sobie; nie patrząc, wiedziała gdzie wzrok się jego zatrzymał. Drgnęły powieki: to on w jej oczy spojrzał; na białem ramieniu poczuła ciepło: to tam wzrok jego się zwrócił; za-

rumieniły się silniej jej usta: to on je oczyma całował. Nagle głowę podniosła i znowu czarne, duże, prześliczne oczy swoje utkwiała w jego źrenicach.

Nie lada potrzeba było mieć siłę, by takie spojrzenie wytrzymać. Jerzy jednak nie zmrznął powiek, zagłębił się w tem morzu bezdennem. — Kto wie, czy, jak dobry nurek, perły jakiej na dnie jego nie szukał? Panna Irena miała usta uśmiechnięte, ale wzrok Ławskiego był tak głęboki, poważny, nabrzmiały jakimś wielkiem pytaniem, że uśmiech znikł szybko, tylko silny rumieniec na twarz wystąpił i kazał powiekom usunąć się lekko na dół. Zdawało jej się, że to spojrzenie stojącego przed nią mężczyzny mówiło: kocham cię — a ty? Zdawało jej się, że pytał: dlaczego ty — tak patrzysz na mnie?

Wyprostowała się nagle, osunęła w tył nieco piękną swoją głowę, ubraną w bujne warkocz kruczonych włosów, i, zaciskając lekko różane wargi, odezwała się...

— Przyszedł wyciągnąć pana na przechadzkę... Czy zechcesz mi pan towarzyszyć?

(Dalszy ciąg nastąpi).

WYCHOWANIE.

(Dokończenie).

Szlachetny myśliciel francuzki, Quinet, rozbiegając proces wytwarzania się pojęć moralnych wśród Ludzkości, twierdził, że to jedynie jest tu gruntownie trwałym nabytkiem człowieka, do czego został przygotowanym jako dziecko. Wychowanie pierwotne, domowe wychowanie, wyrabiając nawyki, wytwarzając to, co można nazwać smakiem moralnym, daje istocie młodej nagięcie wyroczne i skłonności mające stanowić o przyszłości życia. Posiadamy przysłowie, odpowiadające twierdzeniu francuzkiego filozofa: „Czem skorupka nasiąknie zamłodu, tem na starość trąci” i tylko osobistości wyjątkowe, bardzo silnego, wysokiego ducha, zdolne są do podniesienia się ponad te pierwsze, moralnie kształtujące je wpływy. Twierdzi to samo wielki nasz poeta, pisząc: „Młodość to rzeźbiarka, co urabia żywot cały”... i wobec takiej zgody poglądów matki powinny-by wziąć do do serca mocniej, niż się to dzieje obecnie, myśl że wychowanie zaczyna się niemal z przyjściem dziecka na świat. Zaczyna się przecież niezaprzeczeniem wychowanie fizyczne: delikatne ciało dziecięcia otacza powijak, aby nie tu skrzywionem nie zostało, aby dobre ujęcie chroniło od tego, i potrzeba podobnego środka dla moralnej strony dziecka od dni życia jego bardzo wczesnych — potrzeba, aby płonka człowieka otrzymała już wtedy palik wychowania.

Dziecko przynosi ze sobą pewne zasoby, z których ma się wytworzyć dla przyszłości życia majątek jego duchowy. Wychowanie obraca niemi: wprawia je w ruch i ubogaca tę przyszłość przez kapitalizowanie procentów od mienia posiadanego, albo, przeciwnie, pozwala tym wartościom przepadać wskutek złego niemi gospodarowania: braku dozoru, a gorzej jeszcze, przez przytłumianie ich wpływami zlemi. Wychowanie powinno przyspieszać dziecku rozwój pojęć moralnych i głównem jego zadaniem jest oszczędzenie mu tej trudnej pracy, aby samo sobie zdobywało zrozumienie zła i dobra. Trzeba tu otrzymać najpierw posłuszeństwo, a powoli, pomocą dobrych nawyków zostaną złożone w serce, w umysł, jak ziarna w grunt dobrze uprawiony, wyobrażenia i zamiłowania, składające się na pojęcie złego i dobrego — na wytworzony z nich zmysł moralny.

Compayré przytacza tu zdania kilku pedagogów i myślicieli francuzkich. M-me de Rémusat

pisze w dziele swoim: *Essai sur l'éducation des femmes*, aby dla wyrabiania się w dziecku uczucia odpowiedzialności moralnej, osoba wychowująca nie używała nigdy w nakazach dawanych dziecku wyrażenia: „Trzeba, abyś to uczynił” — ale: — „Powinieneś to uczynić!” Gdy miejsce: *Il faut...* zajmować będzie stale: *Vous devez...* umysł młody przejmie się z wolna uczuciem obowiązku, jako reguły kierującej życiem, związanej ściśle z tem, czego władza wychowująca, więc prawo, które niem rządzi, wymaga w postaci posłuszeństwa. M-me Guizot w dziele *Lettres de famille* twierdzi, że zmysł moralny rozbudza się u dzieci już w szóstym, siódmym roku i pisze: „Widziałem już w tym wieku zamiłowanie dobra (goût au bien) będące pobudką i nagrodą usiłowań czynionych. Zosia z zapałem uczy się zadanej lekcji, choć jedyną przyjemnością odniesioną ztąd jest to że wyda ją bez myłki. Ludwisia wstrzymała się od uderzenia towarzyski, która jej wyrzuciła pałac z kart, zadowolona tem dostatecznie, że będzie mogła powiedzieć matce: — Wszakże postąpiłam dobrze?”... Michélet twierdzi, że pojęcie obowiązku wszczepione jest w duszę każdej istoty ludzkiej i stawia to jako dowód, że znajduje się ono nieraz bardzo silne w tych klassach ludowych, które nie odebrały żadnego wykształcenia, urabiającego moralnie; ale szlachetny ten filozof zapomina o wpływie zasad religii chrześcijańskiej — o tem, że pewne zasadnicze pojęcia moralności są owocem wielowiekowego wyrobienia społecznego ludzi. Zarodek, z którego wyszły, to niewątpliwie instynkt moralny, dany duchowi ludzkemu, który stanowi wyższość człowieka nad wszystko, co go otacza wśród organicznej i nieorganicznej natury. On to jest ziarnem postępu. Pragnienie coraz wyższego dobra i piękna moralnego — uczucie ideału, stanowi ów rozum ludzki przez który „różnimy się od zwierząt”.

Nauczanie moralności powinno odbywać się przez wychowanie. Przykład będzie zawsze znaczył najwięcej, ale należy obok tego zwracać uwagę młodocianą na to, ile zobowiązań moralnych ciąży na każdym życiu ludzkim, jak wszystkie zmierzają do jednego celu kierowania się szlachetną zasadą dążenia do cnoty, i jak ściśłym jest związek ich wszystkich pomiędzy sobą. Trzeba dziecku nie tylko pochwalić czyn dobry, ale wykazać dodatnie skutki, czyniąc naodwrot to samo, gdy złe postąpi, i wykazując, co by to było, gdyby wszyscy postępowali podobnie? Wtedy postęпки dobre zaczną cieszyć, złe będą smucić dziecko i energia duszy młodej zacznie współdziałać z wychowaniem, któremu przecież wypada się głównie opierać na tem, co nazwać można żywą akcją: to jest na zaprawianiu się dziecka do dobra z jednej strony, przez dobra tego praktykę, z drugiej przez przykład otoczenia. Widząc jak to otoczenie poddaje się regule, stawianej mu jako prawo moralne, dziecko skłania się w tę stronę niemal mimowolnie — naśladuje, i chwytając, można powiedzieć na gorącym uczynku, prawo moralne rządzące światem i oddziaływające na jednostki, jak to dostrzeże dziecko na sobie samym. To, co Marek Aureliusz mówił, rozbiegając swój stan moralny: „Dziadek mój nauczył mnie cierpliwości... matce mojej winienem uczucie pobożności... ojcu skromność”... sprawdza się podobnie na człowieku każdym, nie tylko w szczegółach. Sumienie, które jest zasadą cnót wszelkich — uczucie odpowiedzialności moralnej, budzi się w nas i sił żywotnych nabiera przez oddziaływanie przykładu. Sumienie ojca, matki, nauczyciela, przemawia do sumienia dzieciennego i budzi je: — Patrz! woła nań przez postęпки swoje — oto jestem takim! Kocham dobro, a ze wstrętem unikam złego, bo tak czynić powinni ludzie uczciwi.

Czem jest dla dziecka wychowanie — oddziaływanie moralne przykładu i nauki, która przedstawia cnotę jako obowiązek, wykazuje Compayré na liczbach małoletnich przestępców we Francji. W r. 1875-ym było tam 9.906 dzieci moralnie upadłych i osadzonych w zakładach poprawczych a w tej liczbie znajdowało się: 4.554 sierot, więc pozbawionych opieki rodzicielskiej; 154 wychowanych w przytulniach dobroczynnych, więc poza rodziną i jej oddziaływaniami, 1.518 dzieci nie-

mających prawnie rodziców, czyli przebywających w otoczeniu niemoralnem; 1.615 miało rodziców karanych kryminalnie, czyli zatrutowanych niebezpiecznie przez obrazy nieuczciwości, spełnianej w ich otoczeniu.

Przykładów dowodzących tej prawdy, że pierwsze wrażenia życia stanowią niemal o życiu tego kierunku, możnaby przytoczyć mnóstwo. Przecież ta potęga siły, działającej zzewnątrz nie dowodzi bynajmniej duchowej niemocy człowieka, bierności natury ludzkiej. Przeciwnie, moc to jest i wielka, bo ta zdolność kształcenia się na obraz i podobieństwo tych, którzy są dlań władzą — czemś wyższem, niżeli oni, wykazuje nie tylko wrodzone człowiekowi poczuwanie się do spełnienia obowiązku, do ulegania prawu, które przedstawia w tym momencie życia ludzkiego władza rodzicielska, ale i pragnienie doskonałości: uczucie ideału. Wykształcalność człowieka z tego źródła początek swój bierze. — Wyżej! wyżej! szepcze coś w jego głębi, i to naśladowanie rodziców przez dzieci stwierdza wrodzone każdej istocie ludzkiej pragnienie doskonałości — stwierdza duchowy motyw, popychający ku temu człowieka, zamkniętego w dziecku.

Że lata nie odbierają mu tej zdolności — tej władzy przetwarzania się: urobienia istoty swojej na obraz i podobieństwo jakiegoś, dowodzi nam historia. Według pojęć swoich o tem, co jest dobrem i pięknem, narody przekształcają się, zmieniają ideały swoje: podnoszą się lub padają. Compayré widzi też w wychowaniu, które kierunki myślenia nam wytyka, które rozwija w nas lub przytłumia dzielność duchową, podwalinę społeczną i pisze: — „Żaden wiek nie może, nie powinien stać poza obrysem postępków w kulturze moralnej. Nietylko nauka słowna może nam służyć jako narzędzie nauczania; czynny przedstawiający się oczom, uderzający myśl i uczucie, mogą być i bywają często potężnem narzędziem nauki, którą pokolenie starsze daje pokoleniu młodszemu. Ktoś się może rozśmiać z tego — może go zabawić ta myśl, aby ze względu na to białe i różowe maleństwo, które ledwo może ustać o własnej sile, i jak żywa zabawka wiesza się na szyi matczynej, filozof podnosił wysokie kwestye siły, którą rządzić się mamy — kwestye sumienia i moralności naszej. Przecież wszyscy ci, którzy wiedzą, jak odbywa się ewolucja uzdolnień ludzkich, z jak niedostrzegalnymi niemal kielkami korzeni, sadzonych w grunt duszy dziecięcej, wiązą się ściśle kwiaty i owoce wieku dojrzałego — zajmowałiby się tak samo jak my pierwszym, ledwo dostrzegalnym drgnięciem życia moralnego w dziecko. Nigdy nie jest zawczasie oddać człowieka szkole obowiązkowi”.

„Dlatego też nie jest bynajmniej anachronizmem, gdy u kolebki dziecka myśli się już o odpowiedzialności moralnej, o obowiązkach, które przyjdą w koleji życia zaciążyć nad tą główką aniołka, uśmiechającego się do nas słodko w niewinnej nieświadomości swojej złego i dobrego, a którego myśli i uczucia są tylko odbłyskiem myśli i uczuć rodzicielskich, jak lewy, albo prawy jego policzek, podobny do brzoskwin, na którą padnie promień słońca, rozrzucając się od tej strony, którą przytulał się do ciepłej piersi matczynej”.

M. I.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

LXXXVIII.

Rosenkranz i Güldenstern, komedia w 4-ach aktach, Michała Klapp'a; tłómaczył z niemieckiego Marjan Gawałowicz — Teatr Rozmaitości d. 4-go Października 1890 r.

Niema w teatrach naszych zorganizowanej służby wyszukiwania sztuk nowych. Jeżeli sztuka sama nie przyjdzie do reżyserji dramatu

i komedii. scena nasza nieprędko ją ujrzy; przychodzą zaś tylko sztuki oryginalne, i to nie zawsze bez wstępowania po drodze gdzieindziej. Utwory tłumaczone, a raczej obce, potrzebujące przetłumaczenia, aby się dostać na scenę, lata całe czekają, a nieraz lat dziesiątki. Kiedy zagranicą ludzie już o nich zapomnieli, u nas dopiero pamiętać o nich zaczynają. Przez taką zółwią metodę reżysera krzywdzi przede wszystkim samą siebie. Albo sztuka jest dobra, i nieprzedstawia jej grzech; albo też zła lub mierna, i, jeżeli mogła ująć nagorąco, nie zdoła już znaleźć nic na usprawiedliwienie swoje, gdy przychodzi jako stara, chlerająca i kulawa.

Rosenkranz i Gildenstern są sztuką mierną, a przyszli ubawić publiczność warszawską po kilkunastoletnim szarpaniu się po scenach niemieckich. Jak tu ich przyjąć? Gdybyśmy mieli przed sobą utwór wyższej wartości, przebaczylibyśmy mu to opóźnienie się, bo co dobre w sztuce, to nie starzeje się nigdy i znajdzie dla siebie zawsze choćby honorową kompanię w publiczności. Ale jak tu przyjąć tych dwóch panów przychodzących pod nazwiskami zapożyczonymi od Shakespear'a, a nieumiejących nawet dobrze z poezji tej skorzystać? Zapewne, można tego wysłuchać, jeżeli się jest nie wybrednym lub niewybrednie usposobionym, jaką była znaczna część widzów pierwszego przedstawienia; można nawet przyklaskiwać konceptom, rzadko oryginalnym i rzetelnie dowcipnym: ale wynieść zadowolenia, uraczyć się, jak każdą sztuką dobrą, nie sposób.

W całym utworze Klapp'a słabą niezmiernie jest indywidualizacja charakterów. To nie, że sztuka, mając być wesołą, raczej do rodzaju farsy, niż komedii, należy: złem w niej jest to, że, czy ją weźmiemy za komedię, czy za farsę, zawsze nas jedna i tasama cześć w niej uderzy. Te wszystkie postacie, z wyjątkiem trzech są powycinane z papieru, a pp. Rosenkranzowi i Gildensternowi i pannie Klarze, to tylko przyznać można, że istotnie żyją — nie odznaczając się zresztą oryginalnością swej psychiki. Sztuka wygląda jak felieton, napisany po powrocie ze Szwajcaryi i pocięty na sceny. W budowie jej niema rażącej niezdarności scenicznej, ale niema też i prawdziwego komicznego porywu. Jedynie tylko druga połowa III aktu, kiedy zebranie turystów bierze poważną szermierkę między Rosenkranzem ochmistrem a Gildensternem pupilem — za próbę komedii, robioną przez komedyantów — *vis comica* istotnie już działać zaczyna a w zakończeniu samem podbija i całą salę. Śmiech jest powszechny, szczery, krótka zaś uciecha starych dzieci — doskonała.

Jeżeli takie sztuki mogą mieć jakiś zrab myśli poważnej, to w sztuce Klappa jest nim pomsta losu nad pychą magnacką: syn Ernest v. Loebenstein (p. Wolski) rozmawia się w swojej siostrze ciotecznej, od której właśnie ojciec jaknajdalej pragnął go odsunąć, wyrzekłszy się niegdyś przez pychę rodzonej swej siostry. Jest to w każdym razie pomysł dobry, ale więcej dramatyczny, niż komiczny, a w komedyo-farsie Klappa zaledwie zaznaczony. Baron Rosenkranz, (p. Ładnowski), wzięty na ochmistra właśnie dlatego, że sam sobą rządzić nie umiał, mógł być w swem niewygasłym jeszcze junactwie zabłysnąć doskonałym komizmem; ale autor ze sposobności tej nie skorzystał: uczynił go poważnym kochankiem, porywającym staremu księciu zprzed nosa partya od lat pięciu przeznaczoną dla syna (Klara, p. Czaki).

Cały akt I jest zupełnie zbytecznym, bo ani niemądrem wycinaniem całych artykułów z gazet, ani banalną instrukcją daną ochmistrowi na podróż, ani pospolitą rozmową z pupilem, nie zajmuje, a będąc przygotowaniem do tego, co się bez przygotowań wybornie obyć mogło, niepotrzebnie tylko sporo czasu i uwagi widzowi zabiera. Opowiadanie dziejów Hamleta dwóm osłom-blagierom alpejskim naciągane, a deklamowanie całych ustępów z Bäckera — prawdziwie już tylko na bardzo mało wymagającą publiczność obliczone. Nie chcę wytykać wszystkiego, coby złego w tej sztuce wytknąć można; sądzę, że i to, co powiedziałem, wystarczy.

Pp. Ładnowski i Wolski grali najlepiej. Panna Czaki nie wystudowała dostatecznie roli; może dalsze przedstawienia dadzą jej to, czego nie dały zaniedbane studia. P. Szymanowski jest zawsze Szymanowskim, nawet w roli tak mało wdzięcznej jak Sasa Schmalicha. P. Trapszówna nie zepsuła Vilmy, bo zresztą byłoby to zadanie trudne z powodu patronowej łatwości roli. P. Nie-wiarowska, Hrabina Kienborn, była poważną, poważnie o swej znajomości świata i ludzi przekonaną. P. Ostrowski podjął się cześciej roli Sanftlebens, jednego z owych blagierów alpejskich, okłamywanych znowu przez Rosenkranza. Nader marnie synował mu p. Jagielski jako Ernest. — Pozostał jeszcze p. Frenkiel. Artysta nie ma pojęcia o tem, jak się w skórze książęcej poruszać, jak w nią wleźć: był źle ubranym, niezgrabnym, niemrawym, automatycznym w ruchach, bez charakteru w mowie — w dwóch słowach: był bardzo niedobrym. Sztuka, im gorsza, tem lepszej gry potrzebuje; dzieło wyższe przebiję się przez grę nawet najlichszą.

Rozstawszy się z pp. Rosenkranzem i Gildensternem, zacząłem sobie przypominać sztuki nasze jednorodne z dopiero widzianą i przyszedłem do tego pocieszającego wniosku, że nasi autorowie, nieraz tak surowo sądzeni, umieją pisać lepsze rzeczy od tej niby rozgłosnej komedii Klappa. W całej Europie smak się zepsuł. *Fin de siècle* może go jeszcze poprawi, jeżeli i życiu powszechnemu lepszy smak nadać zdoła.

Na przekładzie znać pośpiech.

Stanisław Krzemiński.

U STÓP MONT-BLANC.

(Dalszy ciąg).

Gdy po napisaniu listów, co zabrało mi parę godzin czasu, wyszedłem z hotelu, zadiwiła mnie niemało niespodziewana zmiana pogody. Zerwał się wiatr ostry i chłodny; wiał z zachodu i pędził chmury, których znalazło się na niebie mnóstwo, nie wiedzieć zkad. W głębi ponad lasami wisiały czarne i groźne, ale nad doliną błękit niebios jeszcze się tak nie zasępił i przepływały tylko po nim, to srebrno-białe, to sino-rude, przecież w stronie wąwozu Voza gromadziły się i ciemniały, piętrzyły jedna ponad drugą, gdy naraz strzał armatni wstrząsnął majestatycznymi ścianami tej fortecy naturalnej. Wiedziałem, co to znaczy: w ten sposób oznajmiano zwykle okolicy, że jakaś śmiała, jakaś zuchwała noga ludzka postawiła się na szczybie Mont Blanc i zawróciłem się szybko w stronę teleskopu. Chciałem dać oczom moim ciekawy widok człowieka, który może sobie powiedzieć, że stanął wyniesiony ponad całą Europą! Wzrok jego swobodnie w tej chwili ogarniał horyzonty tak szerokie, że gdy z jednej strony mógł lecieć swobodnie ku szczytom Apeninów, ku staremu gniazdu ludów łacińskich, z drugiej mógł bieda na zwiady w stronę gór, gdzie wytryskują źródła Renu i Dunaju, wreszcie mknąć jak ptak między Czarny Las i góry Czech...

Tłum ludu oblegał teraz teleskop, a była tu, jak się spodziewałem, i p. Henrykowa. Wzruszona, zdenerwowana, nieboga czekała niecierpliwie, aż z kolei zostanie dopuszczoną do aparatu. Czasem miała minę dumną, czasem była w jej oczach niewysłowiona, niewypowiedziana tęsknota. — Zobaczysz go!.., dolecieć do niego wzrokiem... zapamiętać najawże tę chwilę!..

— Proszę obserwować najawżniej punkt zwany Bosses du-Chameau... — wołał teleskopista. — To miejsce najniebezpieczniejsze dla schodzących...

— Wiemy... wiemy... wołano. Kobieta stała blada.

— A teraz Rochers-Rouges. Spadziłość, która tam wiedzie jest też ślizka, jak szkło. A czy

wie szanowna publiczność, co podróżnik ma wtedy pod nogami?

— Rozpadlinę — odparł jakiś stary jegomość — rozpadlinę w skałę...

— Tak rozpadlinę i jaką jeszcze — dodał teleskopista z dumą, jakgdyby to on tworzył ten kawałek świata, jako pomocnik Pana Boga. — Katastrofa podróżnika Hamel tu nastąpiła — dokończył

— Tu?... pytano, a on poważnie dał znak głową. Jakiś chłopczyk chciał się dostać do teleskopu; przedsiębiorca poglaskał go po głowie. — Tylko pięćdziesiąt centymów i mały zobaczy rozpadlinę — mówił, zwracając się do matki dziecka, gdy ktoś nagle zawołał: — Ruszają z miejsca... idą... Podróżny już zmęczony... widać to... zmęczony jest.

Jak zwykle wobec widowiska, które może zatagać nerwami naszymi, gromada ludzi obstała teleskopu i tak się doń ciśnięto, że ta, której serce obumierało w piersiach, nieprędko mogła się dostać do niego. Gdy to nastąpiło na koniec, gdy blada i wzruszona przyłożyła doń oko, chmury zaczęły właśnie napływać na słońce i przysłaniać je. Skośny promień światła uderzał na odnogę gór Brévent, ale chmury napływały coraz liczniej, a wiatr gnał je wszystkie w stronę Mont Blanc, otaczając jej boki, jakgdyby bałwanicym się dymem. Naraz biedna kobieta podniosła się od teleskopu, bardzo blada, z błyszczącymi oczyma, — Henryk zniknął mi poza chmurą — rzekła do mnie. Teleskopista, który od czasu do czasu dał w trąbę, naraz się zatrzymał, usłyszawszy te wyrazy. — Zabiera się na burzę, nie będzie już można nic widzieć... rzekł.

Było to dla niego stratą pewnej liczby centymów, ale przyjmował rzecz filozoficznie, rozgniewał się też. — Nie trzeba straszyć pani... rzekłem żywo. — Chmury tak się rozproszą prędko, jak prędko napłynęły. Wiatr je przegna.

Pokiwał głową, a ja wyjąłem z kieszeni barometr i pokazałem mu, że stoi na pogodzie. Zaledwie to uczyniłem, gdy głuchy, silny huk grzmotu zabrzmiął groźnie od strony gór. Ona biedna zatkała sobie uszy obu rękami i uciekła do hotelu. Przypuszczałem, że rzuci się na kolana i będzie się modlić — nieboga!

W pół godziny potem nadciągnęła burza. Grzmoty nie ustawały; echa gór powtarzając je, podnosiły groźny efekt tego powietrznego huku i rzadkie, ciężkie krople deszczu zaczęły padać. Wkrótce stała się z tego strumienista ulewa, która przeszła z kolei w gęstą, obfity deszcz. Nie zdążyłem dobiec do hotelu, schroniłem się do kramu ametystów i agatów, gdzie już też zezebrała się spora kupka ludzi. Rozmawiano. Podróżnik i jego przewodnicy byli przedmiotem ogólnego zajęcia i wróżb niewesołych. — Tam, gdzie muszą być teraz, nie deszcz, ale śnieg leci, a nie mogą ruszyć się z miejsca, bo co krok, to przepaść... mówiono.

— To nie w tem rzecz — przerwał stary pastuch kóz. — Kiedy śnieg jest nad tobą, pod tobą i naokół, to gdzie masz iść? Choćbyś miał ze sobą mapę i bussolę, to ci nic nie poradzi. Musisz stać, a raczej sięść, bo inaczej wichura cię porwie.

— Ja bym tam szedł, póki-bym mógł — ozwał się jakiś młodszy wyrobnik. Powiadają, że posiedzieć wtedy godzinę, dwie — to człowiek zmarznie... Szedłbym do ostatniego tchu.

W tej chwili ukazał się na ulicy silny, ogorzały wyrostek. Woda lała się z niego i, przechodząc, skinął głową grupie, wśród której się znajdowałem. — Jasiek! zawołano — idziesz do domu?..

— A tak... odparł — spieszę się, bo stara pewno tam lamentuje..

„Stara“ znaczyła jego matkę. Ojciec i brat starszy byli z podróżnym i kobietą, jak się domyślał syn, szarpał niepokój o nich; zrozumiałem też dopiero, oile położenie jest groźnem. Góra-le, to lud odważny i nieskłonny do próżnych sentymentów. Gdy matka, gdy żona przewodnika ulega trwodze, gdy targa nią niepokój, to niebezpieczeństwo musi być niemałe, i serce ścisnęło mi

się w piersiach, zwłaszcza, że chmury bałwaniły się na niebie i zmrok szybko zapadał. A nie ja jeden szukałem przygodnej uchrony przed deszczem; po sieniach, po sklepach stały gromadki. Pożyczano im parasoli, a jakitaki zarzucał na głowę poły płaszcza, okrycia, jakie miał na sobie, i biegł pod strugami lejącej się wody. Gdy *Pod Niedźwiedziem* zadzwoniono na obiad, ruszyłem też i ja. Tam zastałem wszystko w porządku; goście obsiedli długi stół, lokaje obnosili półmiski a wśród szczeru szkła i porcelany rozmowa toczyła się żywo. Przedmiotem jej była burza i oczy moje zwracały się z żalem na dwa puste krzesła w pobliżu mojem. Gdzie jest młody, przystojny, wesół mąż tej wdzięcznej, delikatnej kobiecinki, która wczoraj siedziała tu koło niego ładniuchna, uśmiechnięta?

Przytulony do zimnej, mrozącej go skały, otoczony wzmagającą się coraz ciemnością, broniący ust — oddechu, od nawały śniegowej, co czuje, o czym myśli w tej chwili?

Po obiedzie cofnąłem się zaraz do mego pokoju i słyszałem przeze drzwi tłumiczne łkania, czasem wyrwyjające się z pomiędzy nich szloch namiętny, czasem jęk, wzywający miłosierdzia boskiego. Noc zapadła ciemna; otworzyłem okno i okryty wełnianą burką patrzyłem w ciemności. Deszcz padał wciąż i słychać go było po dachach, woda lała się z rynien, płynęła rynsztokami jak wezbrany strumień, a grzmoty dawały się jeszcze słyszeć niekiedy w oddaleniu, posępnie głucho. Okno przyległego pokoju było też otwarte i tamtędy dochodziły mi wyraźniej odgłosy gorzkiego płaczu, jęków biednej istoty, do której nie śmiałem się odezwać, lękałem się przemówić. Raz, gdy zdawało mi się, że stoi w oknie, już otwierałem usta, ale cóż mogłem jej powiedzieć? — Ufaj Bogu... toż modliła się przecież, a czy mogłem jej powiedzieć, że ją Bóg wysłucha — ją: wierzącą, kochającą istotę?

Ileż jest takich, a okrył je przecież czarny kir wdowi? Iluż żonom poginęli mężowie, ile matek nie ma synów — ile jest sieroctwa i żaloby na świecie?

Skoro tylko zaczęło świtać, wzięłem parasol i wyszedłem. Wiatr zmienił kierunek, wiał ku północo-zachodowi, ale deszcz padał ciągle. Już mogłem się rozejrzeć po okolicy, woda leciała z gór strugami, lała się z posępnym szumem; spotykanych górali pytałem, kiedy się to skończy, ale odpowiedzi były sprzeczne i tak doszedłem do wioski Servoz, gdzie wypilem w oberży śniadanie. Nigdzie i od nikogo nie mogłem zasięgnąć żadnej wieści, ani nawet jakiegoś pewniejszego przypuszczenia, co się mogło stać z podróżnym? — Bóg to raczy wiedzieć... — odpowiadano mi ogólnie.

Byli i tacy, którzy żalowali głównie przewodników, — Biedacy! chcieli zarobić grosik jakiś i oto oddali za to życie...

Już z południa, gdy deszcz ustał nareszcie i zasłona chmur zaczęła się rozdzierać naszczycie „Aiguille du Gouter“, otoczonym mgłą, żółtą jak para z kotła gotującego się asfaltu, błyszczące smugi śniegu poczęły przeświecać, ukazując oczom coś jak latarnie srebrzystego światła. Gdym, doszedłszy już do Chamounix, obrócił się i puścić wzrok przed siebie, ukazał mi się widok, niedający się nigdy zapomnieć. Wiatr rozpuścił obłok mgły, okrywającej Mont-Blanc aż dotąd, słońce, odzyskując panowanie swoje, przemieniło cały ten kawał przestrzeni w jakiś różowy ocean, wśród którego ciemno-brunatne skały przedstawiały się oku jak rozsiane po nim wysepki, i pomyślałem wtedy o biednej, zrozpaczonej kobiecie. Czy i przed nią otworzą się podobnie horyzonty wdzięcznego światła, różowo malujące życie?

Dostałem się na plac przed hotelem w tej chwili właśnie, gdy zwołany przez mera oddział przewodników, dwunastu doświadczonych ludzi, szedł się, aby wyruszyć na poszukiwanie podróżnego i jego towarzyszy. Nikt z nich nie dał żadnego znaku o sobie i nie było to dobrą wróżbą ich losu. Według ułożonego z merem planu, poszukujący mieli się dostać dziś jeszcze do wiozyn Grands Mulets i przenocować w znajdującym się tam schronisku, a nazajutrz ruszyć o świcie

między parowy łodu, którym przybyły nowe bryły i na pola śniegów, ubielone świeżą ich warstwą. Ci ludzie byli to bohaterowie turyści patrzyli na nich z uszanowaniem; ksiądz przybył, aby im dać błogosławieństwo.

(Dokończenie nastąpi.)

Kronika działalności kobiecej.

— Z Petersburga donoszą, że wkrótce kobiety lekarki będą dopuszczane do zajmowania posad lekarszy powiatowych i zarządzania szpitalami okręgowymi.

— Zarząd drogi żelaznej Zakaukaskiej obradował nad kwestją dopuszczania kobiet do służby kolejowej. Naczelnicy wszystkich wydziałów oświadczyli się w zasadzie za przyjmowaniem kobiet i określili procent ich od 25 do 75 na sto, według rodzaju zajęć służbowych.

— Szkołę malarstwa, uczącą rysunku i malowania z natury oraz z gipsów, a także malowania stosowanego do przemysłu: na porcelanie, szkłe, glinie, atlasie i aksamicie, otwiera p. Karolina Szmurło.

— „Kurjer Warszawski“ doniósł o pionierce nowej gałęzi pracy kobiecej, o malarce pokojowej. Praca ta daje jej zarobek dostateczny na utrzymanie.

— Uczennica warszawskiej szkoły malowania p. Wiesiołowska, p. Szwornicka, otworzyła podobną szkołę, cieszącą się powodzeniem w Kijowie.

— Na Stałą Wystawę Prób i Wzorów, nadesłała p. Aurelia Kosmowska siatki na konie i na sanie.

— W Kielcach otworzony został przez pp. Kieślińską i Michniewiczową, freblowski zakład dla dzieci — zakład bardzo pożyteczny, ale tylko dla tych dzieci, których matki zajęte są tak pracą obowiązkową, że same oddać się im nie mogą i szukać muszą w ten sposób pomocy wychowawczej.

— Bazar pracy kobiecej w Lublinie rozwija się w kierunku pożądanym, jak donosi „Gazeta Lubelska“. W ciągu pięciomiesięcznego trwania tej pożytecznej instytucji korzystało z niej 41 robotnic, zarobiwszy w tym przeciągu czasu 762 rs., czyli miesięcznie zarobiła przeciętnie każda z nich rs. 18, co niezawsze może być osiągnięte przez pracę w zakładach prywatnych. Oprócz tego bazar przyjął w komis różnych robót kobiecych w cenie 178 rs. i coś drobnych, lecz zbyt tych przedmiotów, ze względu na wyższe ich ceny jest trudniejszym. „Gazeta Lubelska“ dodaje tu, że zainteresowanie się publiczności tym pożytecznym zakładem nie jest jeszcze takie, jakiego spodziewać się było można; trzeba przecież mieć nadzieję, że to przyjdzie z czasem.

— We wsi Głinojecku, w powiecie ciechanowskim, spełnił się akt tragiczny gorącego uczucia miłości macierzyńskiej. Włościanka tamtejsza, Maryanna Adamska, myjąc trzyletniego synka swego Kazimierza w rzeczce Białdusze, upuściła go przypadkowo w wodę i dziecko zaczęło tonąć. Matka cisnęła się za niem, lecz trafiła na głębię, i nie umiejąc pływać, utonęła, gdy tymczasem dziecko zostało uratowane przez drugie dziecko również, ośmioletniego chłopca, Antoniego Wiczorkowskiego. Kobieta miała lat 32 i młode jeszcze było życie, które oddała w ofierze za ukochanie swoje. Przypuścić można, że szlachetny człowiek wyrośnie z małego bohatera, który uratował tu choć jedno życie. Gdyby Bóg dał mu za to, przez pośrednictwo dobrych ludzi, ten promień światła, który się zowie nauką!

— Hr. Ożarowska, właścicielka wsi Brzoza, wczwała do Brzozy szwedzkiego wynalazcę mechanicznego przyrządu do karczowania pni po wyciętych

lasach, który maszynę swoją przedstawił w Wiedniu na wystawie gospodarczej. Próby, oile przyrząd ten jest praktycznym, czynione są w lasach brzożkich, i jeżeli rezultat okaże się pomyślnym, przyniesie to nam mogło korzyść znaczną bo nietylko zyskałoby się wielotysięczną ilość pni, próchniejących nieużytecznie w ziemi, ale znaczne przestrzenie gruntów, uwolnione z nich, mogłyby zostać zadrzewione, lub być użyte pod uprawę rolną. W każdym razie niemałą zasługą jest takie zabiegliwe prowadzenie gospodarstwa postępowego. Próby ze wspomnianym przyrządem odbywały się w Austrii, w dobrach księcia Schwarzenberga.

— We wsi Karlinowie utrzymuje się z bardzo pomyślnym skutkiem, sklep wiejski, prowadzony przez wdowę po założycielu, byłym wojskowym. Niejedna kobieta samotna znalazłaby sobie uczciwy sposób do życia, utrzymując sklep taki, zwłaszcza we wsi parafialnej.

— Stowarzyszenie nauczycielek i wychowawczyń austriackich podaje w dorocznym sprawozdaniu, oile usiłowania jego mogły wpłynąć na polepszenie bytu stowarzyszonych w ciągu ubiegłego roku, który jest dwudziestym istnienia Towarzystwa. Głównym jego zadaniem jest pomoc, dawana członkom pragnącym wyższego w zawodzie swym wykształcenia, oraz zapewnienie tymże członkom odpowiedniego dobrobytu na ten wiek późny, w którym praca ustać musi. Środkami do tych celów jest: instytucja oszczędności, założona dla członków; dostarczanie im wiadomości o wydawnictwach naukowych i ułatwianie nabywania dzieł z tego zakresu, na warunkach mniej kosztownych, niż zwykłą drogą księgarską; urządzenie odpowiadających temu celowi zakładów, abonowanie książek i czasopism. Stowarzyszenie posiada w Wiedniu dom, gdzie przybyszące do miasta tego nauczycielki, nie wyłączając cudzoziemek, mogą zamieszkiwać czasowo. Koszt mieszkania i stołu nie dosięga dziennie 1 zł. reńskiego. Chcące pomieszkać tu dłużej, zawierają z zarządem domu umowę na przeciąg czasu kwartalny, która przecież w razie życzenia przedłużona być może.

— W Krakowie zawiązało się stowarzyszenie pań pod wezwaniem św. Jadwigi, z celem niesienia materialnej i moralnej pomocy kobietom, uczciwie pracującym. Statut stowarzyszenia został zatwierdzony przez władzę. Na przewodniczącą w zarządzie zaproszono hr. Andrzeję Tarnowską, na zastępczynię jej: br. Zygmuntoję Szembekową, Wydział zarządu składają panie: Konstancja Morawska, bar. Puszetowa, hr. Stanisława Tarnowska, Tekla Mańkowska, hr. Stefanowa Zamojska. Sekretarkami Towarzystwa są: księżna Marcelina Czartoryska i inicjatorka założenia Towarzystwa p. Williams. Towarzystwo wynajęło dom, gdzie dawać będzie stowarzyszonym na mieszkanie schludny, odpowiednio umeblowany pokój za 2 zlr. miesięcznie, śniadanie i kolację po 5 centów. Stowarzyszenie pragnie dojść do posiadania własnego domu i w tym celu zbiera się składka; hr. Stanisława Tarnowska dała od siebie 1.000 zł. reńskich. Obecnie jest w domu Stowarzyszenia 10 pensjonarek.

— We Lwowie powstał zakład naukowy dla kobiet pod nazwą: „Praktyczna szkoła pań“, wskazujący czem się powinny zająć młode panny, średnio-zamożnych rodzin, które skończyły nauki, jeżeli, powracając pod dach rodzinnego domu, chcą być użytecznymi członkami rodziny i społeczeństwa i zarazem nauczyć się takiej pracy, na której mogłyby oprzeć życie, nie będąc przecież koniecznymi nauczycielkami. Szkoła, na której cele stanęła osoba specjalnie wykształcona, dawać będzie naukę gospodarstwa domowego w miescie i na wsi we wszelkich jego gałęziach, oraz zarządu domem i kuchnią, ogrodami, gospodarstwem mlecznym, ucząc oprócz tego wszystkich robót kobiecych, krawiecczyn, szycia bielizny, dalej rachunkowości i języków: francuzkiego i niemieckiego, przecież tylko praktycznie, sposobem konwersacji i przez wypracowania piśmienne, co rozciągać się będzie również i do języka własnego. Kurs nauk dwuletni.

— Wdowa po Kacprze Boczkowskim, mieszkaniu lwowskim, złożyła na ręce prezydenta

Lwowa Mochnackiego, 20.000 zł. reń. w książkach kasy oszczędności, jako fundacją posagową dla ubogich panien, córek mieszczan lwowskich. Fundacja nosić ma nazwę syna ofiarodawcy: Karola Boczkowskiego.

— Z końcem tegorocznych studiów medycznych. habilitowało się w Paryżu jako doktorki medycyny siedm Polek. Najpierw znana już czytelniczkom pisma naszego p. Dorota Brandhendler, następnie pp. Cecylia i Berta Dylion, Anna Finkelstein, Felicya Jakubowska, Felicya Mendelsohn i z Kirschensteinów Winawerowa. Oprócz jednej, p. Cecylii Dylion, której rozprawa była z zakresu medycyny ogólnej, wszystkie inne dotyczyły wyłącznie chorób kobiecych i dziecięcych. P. Felicya Jakubowska, była studentka uniwersytetu genewskiego, broniła bardzo energicznie i wytrwale tezy swojej: „Leczenie elektrycznością pewnej kategorii chorób kobiecych“ przeciwko silnie jej stawianym zarzutom egzaminatorów, zwłaszcza prof. Tarnier tak, że obrona przeszła w bardzo długą z obu stron energicznie prowadzoną dysputę, męczącą dla egzaminowanej. Pozostała ona jeszcze w Paryżu dla studiów praktycznych.

— Zmarła w Rzymie Józefa z Malinowskich Komarnicka zapisała 15.000 rs. na nagrody dla polskich kompozytorów muzycznych. Zięć zmarłej, Z. Bolechowski, został wyznaczony przez testatorkę na wykonawcę tej jej woli ostatniej, a to przez utworzenie komitetu przyznającego nagrody, w odstępach trzech lat czasu, tym z kompozytorów naszych, których utwory: opery, symfonie, oratoria, pieśni, — okazały się dziełami wyższego natchnienia i trwałej wartości. Postawiony jest warunek, aby byli pochodzenia polskiego i religii rzymsko-katolickiej.

— Sędziwa wiwandierka francuzka, która towarzyszyła wojskom niegdyś cesarstwa a potem Rzeczypospolitej, na wszystkich niemal polach walk i odznaczała się niezłomną wytrzymałością oraz odwagą, zwłaszcza w czasie ostatniej wojny francuzko-pruskiej, M-me Laurin, otrzymała krzyż legii honorowej. Sędziwa już jest: liczy lat 66.

— Książę Walii, jako wielki mistrz orderu św. Jana Jerolimskiego, przyznał go M-rs Małgorzacie Irving za bohaterskie ocalenie głuchego i kulawego starca, który, niesłyszając ostrzegających go głosów, ani świstu nadchodzącego pociągu kolei żelaznej, spokojnie przebywał tor, na którym byłby znalazł śmierć okrutną, gdyby kobieta nie cisnęła mu się na ratunek już w momencie ostatnim. Starzec ten jest to stary żołnierz inwalid; piękna też była odpowiedź M-rs Irving, dana księciu Walii, chwalcemu jej odważny czyn ofiary. — „Ten człowiek walczył przecież za Anglią i został kaleką w jej obronie“.

Z bieżącej chwili.

— Dzienniki petersburskie donoszą o złożonym w ministerium komunikacji projekcie budowy umyślnych domków, gdzieby podróżni mogli się zatrzymywać w razie zasłabnięcia, opóźnienia, lub tym podobnych wypadków. Projekt zamieszcza uwagę, aby wznoszenie podobnych domków obowiązywało szczególnie nowobudujące się koleje.

— Kwestya uprawy maku na opium na Kaukazie została podniesioną przez departament rolnictwa

i przemysłu wiejskiego. Doświadczenia nad uprawą tej rośliny były czynione przez osoby prywatne z najlepszym skutkiem.

— Roboty koło przebudowania Teatru Wielkiego postępują tak szybko, że otwarcie jego sceny spodziewane jest jeszcze przed Nowym Rokiem.

— Warszawskie Towarzystwo Dobroczynności przedstawiło w sprawozdaniu dorocznym dane następujące: Wydatki wynosiły 150.983 rs., dochodu było 139.542 rs., zatem rozchód był wyższym od dochodu o 11.440 rs. Towarzystwo utrzymywało i zasilalo wsparciami 21.169 osób. Majątek Towarzystwa przedstawia w kapitałach złożonych w Banku Warszawskim i na hypotekach nieruchomości 712.885 rs. Do komitetu mającego ułożyć budżet na rok przyszły zaproszonym został p. Jan Zieliński, vice-prezes administracji, na członków komitetu pp. Jan Kowalski i Konstanty Szumlański. Miasto postanowiło powiększyć o 400 rs. zasiłek dawany Towarzystwu i dawać razem 3.400 rs.

— Dr Zenon Lipski zapisał na rzecz Kasy imienia Mianowskiego 21.000 rs, od których procent ma być użyty na popieranie studiów nad historią, językiem i prawodawstwem polskim oraz na wydawnictwa prac z tego zakresu. Gdyby Kassa istnieć przestała, kapitał przechodzi na prawnych spadkobierców.

— Wystawa architektury, urządzana w salonie warszawskiego Towarzystwa Sztuk Pięknych, otwarta zostanie w dniu 15-ym stycznia r. p. Oprócz nagród pieniężnych przyznane będą listy pochwalne. Trwanie wystawy oznaczone jest do końca Lutego. Konkurs architektoniczny, zapowiedziany na pierwszą połowę Stycznia, przedstawia się pomyślnie. Przyjmują w nim udział architekci zagraniczni i Towarzystwo wysłało za granicę, na żądanie interesowanych, programów kilkanaście.

— Na premium tegoroczne dla członków Towarzystwa Sztuk Pięknych wybrany został obraz Zdzisława Jasińskiego „Chora matka“. Sztych wykona w Paryżu rytownik, Felix Jasiński.

— Rzeźbiarz Bogdański, Warszawianin, otrzymał w Paryżu nagrodę miasta, za grupę *Les Gueux*, która zosiada ustawioną w parku Chaumont.

— Obraz Witolda Pruszkowskiego: „Kwietnia Niedziela“ został wybrany przez Krakowskie Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych na premium dla członków. Towarzystwo to powiększyło się w roku zeszłym o 260 osób, ożywiła się też bardzo znacznie sprzedaż dzieł sztuki na wystawie, oraz liczba osób wystawę zwiedzających, do czego przyczyniło się w stopniu znacznym oświetlenie wieczorne salonów Towarzystwa w Sukiennicach światłem elektrycznym. Obecnie obraz Siemiradzkiego, który właśnie bawi w Krakowie: „Noc w Pompejach“ ściąga tam tłumy widzów. Zarząd Towarzystwa zajmuje się projektem wzniesienia sobie własnego gmachu.

— Marceli Gujski, rzeźbiarz, wykonał piękny model popiersia Mickiewicza. Czynione są starania, aby dzieło to mogło być wykute w marmurze i ustawione na Wawelu. Druk nieznanego listów poety do włoskiego poety Aleardi, ma się ukazać wkrótce w druku.

— Biblioteka i zbiory Kraszewskiego, przywiezione po jego śmierci z San-Remo do Krakowa, zostają tam dotąd na przechowaniu u Adama Miłaszewskiego, b. dyrektora teatru, które zwierzył mu tymczasem syn zmarłego pisarza Franciszek, daremnie dokładając wszelkich starań, aby zbiory te można było pomieścić przy jakiejś instytucji naukowej, lub w bibliotece publicznej. Krakowski wydział krajowy odmówił zajęcia się

tą sprawą, wskazując Bibliotekę Ossolińskich we Lwowie jako instytucję najodpowiedniejszą do jej załatwienia. Ale zakład wspomniany nie okazuje chęci nabycia zbiorów w całości i może się powtórzyć to samo, co stało się ze zbiorami po ks. Polkowskim, które wystawione są właśnie na licytację publiczną.

— Dzieło Sienkiewicza „Ogniem i Mieczem“ zostało przełożone na język angielski i wyszło w Bostonie, w bardzo ozdobnej edycji z licznymi ilustracjami.

— W Nowym Jorku, w tygodniku *The Artist*, wyszła biografia Żółkowskiego z portretem, odтворzonym z fotografii.

— Księgarnia Gebethnera i Wolffa podjęła wydanie dzieł Syrokomli i ukazał się właśnie tom pierwszy; całość składać się będzie z pięciu tomów, wychodzących kolejno. Tom pierwszy zawiera poezye epiczne, które zajmą i następujące tomy: drugi i trzeci. W dwóch ostatnich zawrą się utwory dramatyczne, liryczne i przekłady. Cena rs. 6; dochód przeznaczony jest na rzecz wdowy i dzieci po zmarłym.

— Nakładem „Wędrowca“ wyszedł tom wyboru poezyi Seweryna Goszczyńskiego. Mieści się tam: „Zamek Kaniowski“, „Sobótka“, „Anna z Nabrzeża“ i „Oda“.

— Słownik czesko-polski został opracowany i przygotowany do druku, przez jednego z zamieszkałych w Warszawie Czechów. Potrzebuje tylko nakładcy.

— Cenny zbiór ryngrafów rycerskich nabył w tych czasach, za cenę 7.406 rs. p. C., ziemianin z Wołynia.

— Osoby zajmujące się sprawami wychowania pragną wystąpić do zarządu „Muzeum Przemysłu“ z projektem urządzenia wystawy pedagogicznej. Plan, już nakreślony, przedstawia pięć działów: I Pomoce naukowe i książki pedagogiczne, szkolne i beletrystyczne do czytania dla dzieci. II Hygiena dzieci. III Przedmioty służące do użytku dzieci, zatem: ubiory, sprzęty i przybory do nauki. IV Zabawki dziecięce, zarówno zajmujące umysł, jak i pomagające do rozwinięcia sił, więc służące do gymnastyki dziecka. V Wyroby dzieci, chłopców i dziewcząt: roboty frebłowskie, wyroby szkół przemysłowych, fabrycznych. — Podobno muzeum powzięło myśl urządzenia „Wystawy Zabawek“; zamienienie jej na „Wystawę Pedagogiczną“ byłoby rzeczą bardzo pożyteczną i mającą znaczenie szersze, budzącą też z konieczności żywsze w publiczności zajęcie.

— Elektrotechniczna wystawa międzynarodowa, zapowiedziana na rok przyszły we Frankfurcie nad Menem, ma pomieścić między ciekawościami swemi przenoszenie dźwięków. W salach wystawy słuchać będzie można przedstawień opery i koncertów, dawanych w mieście; urządzone to będzie tak, że w jednej z sal każdy ze słuchaczy będzie miał telefon osobny na użytek własny, w drugiej telefon tubowy oddawać będzie tę samą posługę znacznej liczbie słuchaczy. Oprócz muzyki miejscowej doprowadzone będą do uszu osób zwiedzających wystawę dźwięki muzyki orkiestr, grywających w okolicznych zakładach, a głównie opery meinheimskiej. Jest nawet rzeczą zamierzoną, aby połączyć wystawę z operą w Monachium, ponieważ przed utworzeniem wystawy zaprowadzoną zostanie linia telefoniczna łącząca Frankfurt ze stolicą Bawaryi.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się Arkusz 11-ty powieści pod tytułem: **Administrator**, przez Golo Raimunda. Przekład C. Niewiadomskiej.

TREŚĆ: Pogawędka. — Kazimierz Gliński: **Ave!** obrazek współczesny. — Wychowanie (dokoń.) — Przegląd Teatralny, przez Stanisława Krzemińskiego. — U stóp Mont-Blanc (dalszy ciąg). — Kronika działalności kobiecej. — Z bieżącej chwili.

Dodatek obejmuje: Arkusz 11-ty powieści, pod tytułem: **Administrator**, przez Golo Raimunda. Przekład C. Niewiadomskiej. — Przegląd mód. — 30 wzorów ubiorów i robót z opisem. — **Sekreta gospodarskie.** — **Dyspozycja stołu.**

Suknia wieczorowa z jedwabnego repsu i chińskiej krepy.

Rycina Nr 3 i 4.

Spódnica z białego jedwabnego repsu, nieco w tylnej części przydłużona, obszyta w dolnym brzegu gęstą rioszą układaną w kontrafałdy i wycinaną w ząbki. Wetman z powłóczy-stym trenem z jedwabnego repsu w kolorowy deseń na białym tle. Rodzaj bluzki wykonanej na podszewce z krepy chińskiej, także rękawy bufaste przepasane rioszą w kontrafałdy z materiału jedwabnego.

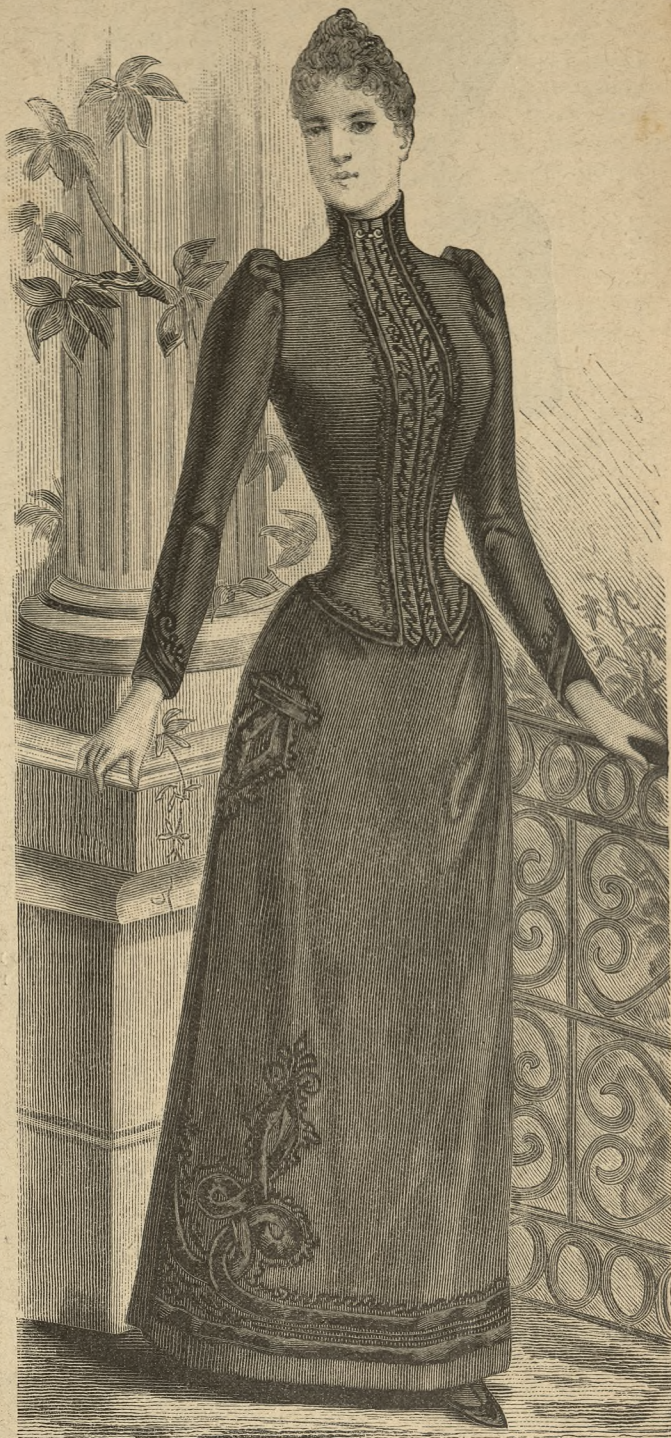
Suknia dla panienki od 8 do 10 lat.

Rycina Nr 7 i 8. (Krój odwr. str. tabl. Nr VI, fig. 49—58).

Suknia z materiału wełnianego w kraty popielatego i białego koloru, przybrana białym szewjotem. Skrajać z podszew-



Nr 1. Zarzutka na głowę z tiulu (do ryc. Nr 8 w Bl. Nr 42).



Nr 2. Suknia z szewjotu (do ryc. Nr 5). (Kr. i op. pierw. str. tabl. Nr II, fig. 19—28).

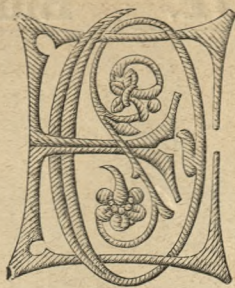
ki fig. 49 — 52 i 56, z materiału w kraty fig. 53 po dopełnieniu złożenia takowej, oraz fig. 57 i 58 po dwie części. Podług fig. 55 jedną część złożoną wzdłuż środka, z materiału podwójnie złożonego.



Nr 5. Suknia z szewjotu (do ryc. Nr 2). Kr. i op. pierw. str. tabl. Nr II, fig. 19—28).

Zaopatrzyć podszewką fig. 55 i 58. Obłożyć brzegi przednich części aż do linii białym szewjotem, który ułożyć na 2 cent. od przedniego brzegu w poprzeczne fałdy 3 cent. szer. Wykonać zaszewki, oraz szew w plecach. Takowe obłożyć materiałem w kraty. Zeszyć plecy, boczki i przednie części podług cyfr. Zaopatrzyć te ostatnie dziurkami i guzikami. Wyłożyć materiał fig. 53 wzdłuż kropkowanej linii, zmarszczyć po kilkakrotnie na ramieniu na 13 cent. dług. Wykonać szew od 40 do 41, zmarszczyć po kilka razy części z przodu i z tyłu każdą z dolnego brzegu aż do linii, zeszyć od 37 do 42. Następnie skrajać z białego szewjotu, podszewki i podkładu fig. 54, z uwzględnieniem konturu lewej połowy, zeszyć od 44 do 45 i obydwie części przyszyć do stanika od 36 do dwukropka, tylną część wylo-

Nr 3 i 4. Suknia wieczorowa z jedwabnego repsu i krepy chińskiej.



Nr 6. Monogram.

10 c. wys. a 160 c. szer., podszyć takową muslinem do połowy i pokryć falbaną tejże wysokości a 266 cent. obwodu.

Ubranie dla chłopczyka od 7—9 lat.

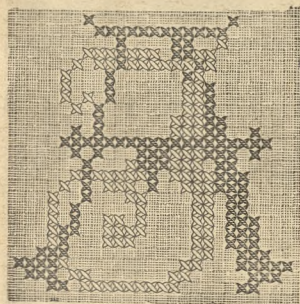
Rycina Nr 19 (do ryc. Nr 20 i 21). Krój odwr. str. tabl. Nr 37—48.

Skrajać najprzód z szewjotu koloru granatowego fig. 37—39 po dwie części, połączyć od 1 do 2, od 3 do 4 i od 5 do 6, następnie przednie części z tylnymi od 6 do 7 i od 6 do 8. Do lewej przedniej części przyszyć listewkę z dziurkami, do prawej zaś odpowiednią z guzikami, wszyć kieszenie od 2 do 3, w tylnej części wykonać fałdę, trafiając każdy $\dagger$ na $\dagger$, górna część wszyć w pasek 10 c. szer. z podkładem i przymocować pasek do sprzączki podług znaków. U rozporka dolnej części przyszyć 2 guziczki i wykonać dziurki i wszyć brzeg dolny w pasek 2 cen. szer. a 40 c. długi i ozdobić klamerką. Co do bluzki, dopełnić najprzód złożenie fig.

41 i 42 i skrajać z kaszmiru ponsowego fig. 41 i 44 po dwie części. Podług fig. 40, 42 i 43 po jednej części złożonej wzdłuż środka. Do lewej przedniej części wszyć kieszonkę. Połączyć plecy i przednie części od 11 do 12, oraz od 13 do 14 i wszyć kołnierzyk z podkładu od dwukropka do 15. Pokryć takowy materiałem. Przednie części zeszyć od 9 do 10, wykonać dziurki na przednim brzegu jeszcze wolnym aż do linii zgięcia do prze-wleczenia, krzyżując ponsowy jedwabny sznurek. Dolny brzeg bluzki obrabić i przesunąć elastykę. Napiersnik zapina się na guzik w tylnej części i przyszyty do przednich wzdłuż linii zgięcia. Następnie wykonać fałdy w rękawach, trafiając każdy $\dagger$ na kropkę, dolną część na 8 cent. wys. zaopatrzyć podkładem, zeszyć od 16 do 17, przyszyć dwa guziki, górny brzeg zmarszczyć od * do * i wszyć, trafiając w 17 na 17. Kurtkę skrajać po dopełnieniu złożonych fig. 45 i 46, z szewjotu i podszewki podług fig. 45 i 46 i z szewjotu podwójnie złożonego podług fig. 47 po dwie części. Podług fig. 48 rękawy z uwzględnieniem konturu spodniej części. Lewą górną część zaopatrzyć w kieszonkę. Spodnie przednie części obłożyć podkładem i materiałem na 12 cen. w górze a na 7 cent. w części dolnej. Zeszyć plecy i przednie części podług cyfr. Przyszyć kołnierzyk i wyłożyć takowy wzdłuż linii zgięcia. Rękawy zeszyć od 26 do 27 i od 28 do 29 i wszyć w kurtkę, trafiając w 29 na 29.



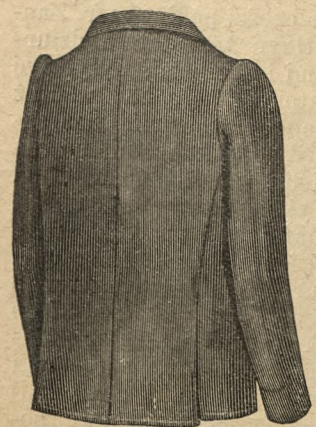
Nr 8 Suknia dla panienci od 8 do 10 lat (do ryc. Nr 7). Kr. odwr. str. tabl. Nr VI, fig. 49—58).



Nr 7. Suknia dla panienci od 8—10 lat (do ryc. Nr 7). Kr. odwr. str. tabl. Nr VI, fig. 49 do 58.

Nr 9. Monogram (robota krzyżowa).

żyć wzdłuż kropkowanej linii. Wierzchnie części rękawów przyfastrygować do podszewki, zmarszczyć takowe od * do * przy łokciu oraz w górnym brzegu od $\dagger$ do $\dagger$. Połączyć ze spodnimi częściami. Rozporki zaopatrzyć w guziki i w pentelki ze sznureczka i wszyć w stanik, trafiając na 49 w 49 przednich części. Do dolnej części stanika przyszyć spódniczkę



Nr 20. Kurtka (do ryc. Nr 19). Kr. odwr. str. tabl. Nr V, fig. 45—48.



Nr 10—18. Kapelusze zimowe.



Nr 19. Ubranie dla chłopczyka od 7—9 lat (do ryc. Nr 20 i 21). Krój odwr. str. tabl. Nr V, fig. 37—48.



Nr 21. Bluzka (do ryc. Nr 19). Kr. odwr. str. tabl. Nr V, fig. 40—44.

Ubranie męskie do polowania.

Rycina Nr 23.

Ubranie złożone z kurtki i majtek z brązowego angielskiego szewjotu. Kapelusz z tegoż materiału przybrany piórkami fanty zyjnem. Kamizelka nieprzemakalna sznurowana taśmą ze skóry. Torba myśliwska ze skóry koloru brązowego z przyrządami do polowania na mniejszą i większą zwierzynę, oraz z przyrządem do przyczepiania zwierzyny.

Szafroczek ranny damski,

Rycina Nr 28. (Krój odwr. str. tabl. Nr VII, fig. 59–63).

Szafrok z kaszmiru ciemno-ponsowego, z częścią wstawioną z białego kaszmiru i przyozdobiony podług ryc. haftem aplikacji sposobem maszynowym. Haft ten może być zastąpiony sutaszem, którego część deseni przedstawia fig. 65. Po dopełnieniu złożonych fig. 59 i 64, skrajając z atlasu fig. 59 podstawę przednich części. Następnie z atlasu i kaszmiru podług fig. 61 dwie części. Podług fig. 62 jedną część złożoną wzdłuż środka. Wszystkie części należy przydłużyć w kierunku strzałki i skrajając z kaszmiru podwójnie złożonego i lekkiego podkładu podług fig. 60 i 63 po dwie części, oraz rękawy z materiału i podszewki. Przednią część z kaszmiru wykonać podług ryc. Kaftanik zfastrygować podług cyfr i znaków wykonać szew od 50 do 52. Ułożyć tylne fałdy, mocując każdy $\dagger$ na kropce. Połączyć plecy, boczki i przednie części podług cyfr i przyszyć pasek od 51 do dwukropka. Wszyć kołnierzyk stojący podług fig. 8. Zszyć rękawy od 62 do 63 i od 64 do 65, zmarszczyć w górnej części od * do * i wszyć trafiając w 65 na 65.

Serwetka (robota drutowa i szydełkowa).

Rycina Nr 30.

Serwetka stosownie do jej przeznaczenia wykonana krętymi nićmi lub też bawełną, częścią na drutach a częścią szydełkiem. Rozpocząć od środka na założeniu w kółko 16 o. na 4 drutach. — Kolej 1 aż do 3 wykonać zwyczajnie. — 4 kolej: 8 razy na przemian: 3 razy drut owinać, 2 o. zwyczajnie. — 5 kolej: 8 razy na przemian z następną. 3-ej nitki owiniętej 7 oczek (ciągle na przemian: 1 o. zwyczaj. 1 odwr.), 2 o. zwyczaj. — 6 i 7 kolej: zwyczajnie, ale ostatniego o. w 7 kolei nie przerabiać. tylko zebrać na następny drut w sposób, ażeby przedstawiało pierwsze oczko następnej kolei. — 8 kolej: 8 razy na przemian: 3 o. zwy., drut owin. — 9 kolej: zwyczajnie. Kolej oznaczone nieparzystą cyfrą aż do 19 kolei włącznie, wykonywać zwyczajnie, o czym nie będziemy już nadmieniali. — 10 kolej: * 9 ocz. zwyczaj. drut owin., 1 ocz. zwy., drut owin., od * powtórzyć jeszcze 7 razy. Powtórzenie to od * ma miejsce w każdej kolei oznaczonej cyfrą parzystą, aż do kolei 18 włą-

cznie, o czym dalej nadmieniam nie będziemy. — 12 kolej: * 3 o. zwyczaj., 2 o. zgubić, na co należy spuścić oczko następne, potem 2 ocz. razem przerobić zwyczajnie i przez te przeciągnąć poprzednie oczko. 2 razy na przemian: 3 ocz. zwyczaj. dr. owin. — 14 kolej: * 2 ocz. zwyczaj., 2 ocz. zgubić, 2 ocz. zwyczaj., dr. owin., 1 ocz. zwyczaj., 2 ocz. zgubić, dr. owin., 1 ocz. zwyczaj., dr. owin. — 16 kolej: * 1 ocz. zwyczaj., 2 ocz. zgubić, 1 ocz. zwyczaj., dr. owin., 3 o. zwyczaj., dr. owin., 1 ocz. zwyczaj., dr. owin., 3 ocz. zwyczaj., dr. owin. — 18 kolej: * 2 ocz. zgubić, dr. owin., 1 ocz. zwyczaj., dr. owin., 2 ocz. zgub., dr. owin., 3 ocz. zwyczaj., dr. owin., 2 ocz. zgub., dr. owin., 1 ocz. zwyczaj., dr. owin. — W 20 kolei odczepić oczko i pozostaje wykonać 5 kolei szydełkiem. — 21 kolej: ciągle 1 ścis. ocz. w każdej odczepione oczko poprzedniej kolei. — 22 i 23 kolej: ciągle 1 ścis. ocz. w każdej ocz., w kolei 23 należy przybrać w równych odstępach 12 oczek, na co przerabiać należy 2 ścis. ocz. w 1 oczko. — 24 kolej: 25 razy naprzemian 3 podwójne słupki, których górne żyłki razem przerob. w wolne jeszcze żyłki 21 kolei w równym kierunku poniżej następ. 5 ścis. ocz. w następ. 5 ocz. — 25 kolej: ciągle 1 ścis. ocz. w następ. o., ale należy 3 razy w odstępach 2 ścis. ocz. przerob. razem. Następnie zebrać na drut 147 ocz. poprzedniej kolei i na tychże wykonać w kółko 26 kolei zwyczajnie. Kolej oznaczone cyfrą parzystą aż do 48 włą-

cznie wykonać zwyczaj. o czym więcej nadmieniam nie będziemy. — 27 kolej: * 2 ocz. zwyczaj., 2 ocz. zwyczaj. razem przer., dr. owin., 1 ocz. zwy., dr. owin., 2 ocz. zwyczaj. razem przerob., od * jeszcze 20 razy powtórzyć. Powtórzenie to od * ma miejsce w każdej kolei oznaczonej nieparzystą cyfrą aż do 47 włącznie, o czym dalej nadmieniam nie będziemy. — 29 kolej: * 4 ocz. zwyczaj., dr. owin., 1 ocz., dr. owin., 2 o. zwy. razem przer. — 31 kolej: * 5 ocz. zwyczaj., dr. owin., 1 ocz. zwyczaj., dr. owin., 2 o. zwy. razem przer. — 33 kolej: * 6 ocz. zwyczaj., dr. owin., 1 ocz. zwyczaj., dr. owin., 2 ocz. zwyczaj. razem przer. — 35 kolej: * 7 ocz. zwyczaj., dr. owin., 1 ocz. zwyczaj., dr. owin., 2 ocz. zwyczaj. razem przer. — 37 kolej: 3 ocz. zwyczaj., * dr. owin., 11 ocz. zwyczaj. od * powtórzyć, ale na ostatku zamiast 11 ocz. zwyczaj. tylko 7 ocz. zwy. i ostatnie zebrać na drut następny w sposób, ażeby przedstawiało 1 oczko następnej kolei. — 39 kolej: * 4 ocz. zwyczaj., dr. owin., 1 ocz. zwyczaj., dr. owin., 4 ocz. zwyczaj., 2 ocz. zgub. — 41 kolej: 1 ocz. zwyczaj. przerob. i zebrać na dr. następ. w sposób, ażeby przedstawiało ostatnie oczko tejże kolei. * 3 ocz. zwyczaj., 2 razy na przemian dr. owin., 3 ocz. zwyczaj., po czym 2 ocz. zgub. — 43 kolej: 1 ocz. zwyczaj. przer. i zebrać na dr. poprzedni, * 2 ocz. zwyczaj., dr. owin., 1 ocz. zwyczaj., dr. owin., 2 ocz. zgub., dr. owin., 1 ocz. zwyczaj., dr. owin., 2 ocz. zwyczaj., 2 ocz. zgub. — 45 kolej: 1 ocz. zwyczaj. przer. i zebrać na dr. poprzedni, * 1 o. zwyczaj. dr. owin., 3 o. zwyczaj., dr. owin., 1 o. zwyczaj., dr. owin., 3 o. zwyczaj., dr. owin., 1 o. zwy., 2 o. zgub. — 47 kolej: 1 ocz. zwyczaj. przer. i zebrać na dr. poprzedni, * dr. owin., 1 o. zwyczaj., dr. owin., 2 o. zgub., dr. owin., 3 o. zwyczaj., dr. owin., 2 o. zgub., dr. owin., 1 o. zwyczaj., dr. owin., 2 o. zgub. — W 49 kolei odczepić oczko, ale 56 razy w równych odstępach należy 2 ocz. odczepiać razem. Następnie wykonać szydełkiem 50 do 53 kolei, tak jak kolej 21 i 24, ale w ostatniej zamiast 25 razy 50 razy na przemian. — 54 kolej: ciągle na przemian: 2 ścis. ocz. przedzielone potrójnym pikotem w 3 następ. podwój. sł. razem przerobiony (na pikot wykonać 3 razy na przemian 5 pow. ocz., 1 ścis. ocz. w znajdujące się ścis. o. przed temże, potem 1 ścis. o. w ścis. o. wykonane przed potrój. pik.). 5 ścis. o. w następ. 5 o., następnie 1 ścis. łań. o. i 1 ścis. o. tejże kolei.



Nr 22. Ubranie damskie do polowania.
(Opis pierwsza strona tablicy Nr I, fig. 1–18).

Nr 23. Ubranie męskie do polowania.

Przepisy gospodarskie.

Knoty do lamp.

Lampy naftowe jak wiemy bardzo często kopcą, wydając nie równy płomień; otóż nie można być zanadto wymagającą przy oprawianiu lamp—wprowadzony porządek w tym kierunku jest tu obowiązkiem nie tylko dobrego światła i przyjemności, ale nawet zdrowia. Chcąc aby płomień był zawsze równy, oprócz starannego czyszczenia lamp, trzeba nowe knoty przed wzięciem ich do użycia włożyć w mocny ocet aby

dobrze nim nasiąkł, następnie lekko tylko wycisnąwszy wysuszyć w cieple i dopiero używać. Dalej, zapalając lampę, bardzo mało ją wykręcić, a dopiero po kilku sekundach rozświecić, będzie się wtedy cały wieczór dobrze paliła.

Kit domowy do przytwierdzenia obluźwanych rezerwoarów w lampach naftowych.

Rezerwoary szklane, obluźwiają się często lub zupełnie wypadają z odpowiedniego w lampach umieszczenia. Ażeby uniknąć ambarasu odnoszenia lamp do blacharzy lub lampiarzy podajemy następujący sposób:

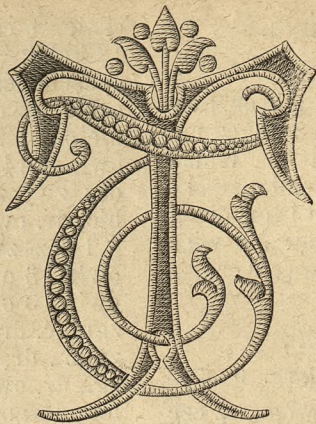
Mocno rozgrzać na blaszanej łyżce kawałek alunu i powstały ztąd płyn wlać w otwór podstawy, natychmiast umieścić rezerwoar i mocno przycisnąć, po-



Nr 24. Monogram



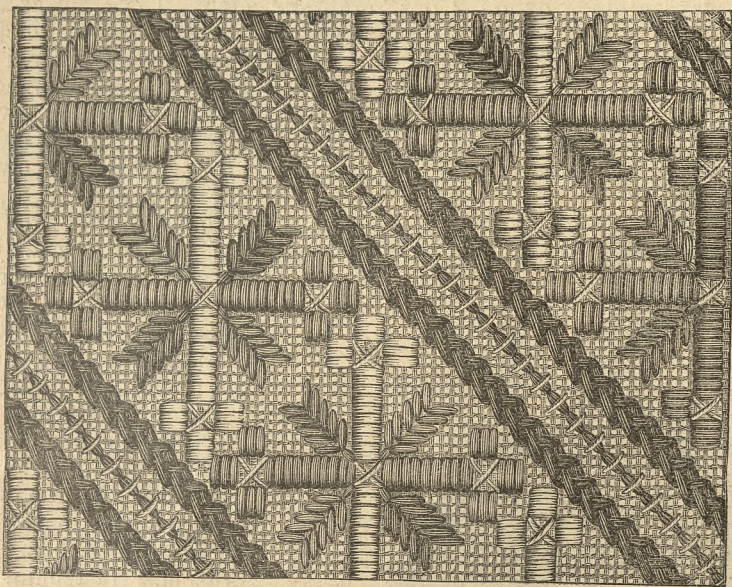
Nr 26. Puff ozdobiony hałtem (do ryc. Nr 27).



Nr 25. Monogram.

Uwaga.

Tablica krojów objaśniająca wzory ubiorów i robót w N-rze 40 „Bluszczu“ służy też do N-ru dzisiejszego i przyszłego



Nr 27. Haft (do ryc. Nr 26) wielkość oryginalna).

nieważ płyn z alunu nadzwyczaj prędko twardnieje.

2-gi sposób: Kawałek gipsu wypalonego utłuc i rozmięszać z rozpuszczonym jak wyżej alunem i tę rozrzedzoną mieszaninę użyć jak poprzednio.

Obiad na Niedzielę.

Zupa pomidorowa z grzankami.
Paszteciki w naleśnikach z pietruszką chrupiącą.
Sztufada z kartoflami.
Knedle ze śliwkami.
Kapłon z serdelami.
Suflet z jabłek.

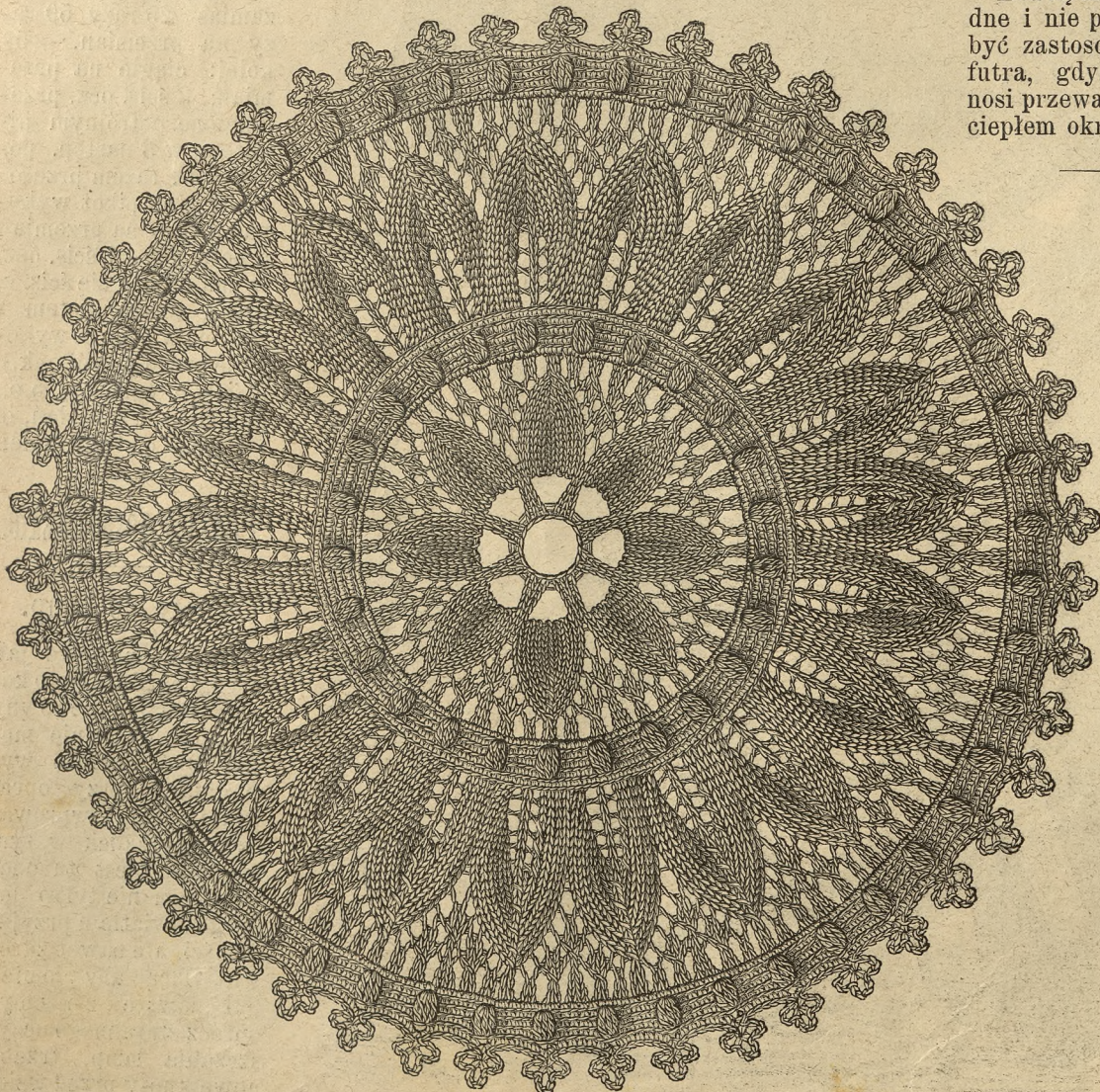
KORESPONDENCYA.

Odp. p. Ap...

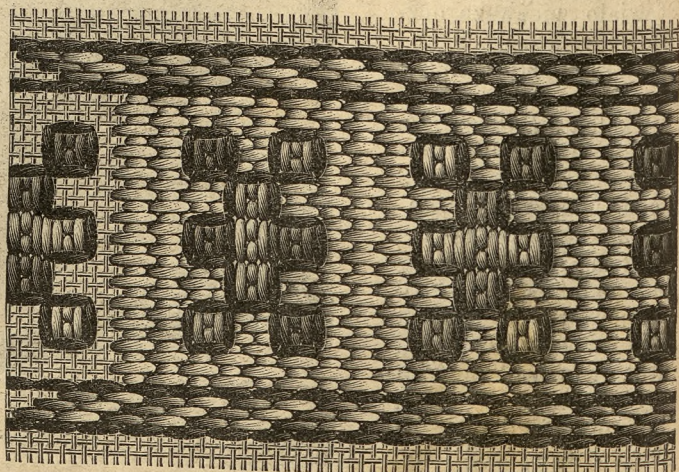
Boa są zawsze modne i nie potrzebują być zastosowane do futra, gdyż się je nosi przeważnie przy ciepłym okryciu.



Nr 28. Szlafrok damski. (Kroj odwr. str. tabl. Nr VII, fig. 59—65).



Nr 29. Serwetka (robota drutowa i szydełkowa).



Nr 30. Szlak na serwetki, poduszki i t. p. (haft płaski).